

**PO NASZYMU
FEST!**

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa,
przyznanych przez Ministra Edukacji
w ramach programu „Nasze tradycje”



**Miejska
Biblioteka Publiczna**
im. Anny Szaneckiej
w Siemianowicach Śląskich



Ministerstwo
Edukacji Narodowej



PATRONAT
PREZYDENTA MIASTA
SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE

PO NASZYMU FEST!



Miejska
Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
w Siemianowicach Śląskich



„GÓRNY ŚLĄSK – TRADYCJA, JĘZYK, HISTORIA”
ANTOLOGIA KONKURSOWA

SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE

2025

Wszystkie teksty publikujemy
w oryginalnej formie.

**Miejska Biblioteka Publiczna im. Anny Szaneckiej
w Siemianowicach Śląskich**

ISBN 978-83-978062-1-4

Wstęp na ślōnsko gōdka przełożył: Marcin Melon

Redakcja: Jagoda Jenschok, Grzegorz Mól, Bogumiła Śliż,
Barbara Trawińska, Jarosław Ulman

Projekt okładki: Jarosław Ulman

Skład i łamanie: Mair Studio Sp. z o.o.

WSTĘP

Górny Śląsk ma swoją historię – pisaną nie tylko datami i faktami, lecz także codziennym życiem jego mieszkańców. To region o bogatej tradycji, wyjątkowym charakterze i niepowtarzalnej tożsamości, której źródłem są ludzie – ich wspomnienia, emocje i doświadczenia.

Książka, którą oddaję w Państwa ręce, stanowi piękne świadectwo tej żywej, nieustannie opowiadanej historii.

Niniejsza publikacja to nie tylko zbiór literackich utworów, ale również swoista kronika lokalnej pamięci. Każdy z tekstów jest odrębną opowieścią, w której odbijają się dzieje, tradycje i codzienność naszej wspólnoty. To historie unikatowe, autentyczne i poruszające – ukazujące bogactwo emocji, wrażliwości oraz języka – zarówno polskiego, jak i śląskiego, będącego nieodłączną częścią naszego dziedzictwa kulturowego.

Książka powstała z inicjatywy Miejskiej Biblioteki Publicznej w Siemianowicach Śląskich w ramach ogłoszonego konkursu literackiego „Górny Śląsk (tradycje, historia, język)”. Celem tego przedsięwzięcia było zachęcenie mieszkańców do twórczego wyrażania swojej tożsamości regionalnej oraz dokumentowania lokalnych historii i wspomnień.

Na konkurs nadesłano 32 prace w różnorodnych formach: opowiadania, wspomnienia, bajki, ballady, wiersze oraz zapiski pamiętnikarskie. 6 października 2025 roku, w Filii nr 9

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Anny Szaneckiej w Siemianowicach Śląskich, obradowała Komisja Konkursowa, która po wnikliwej analizie zgłoszonych tekstów przyznała następujące nagrody:

I miejsce: Tatiana Wiśniewska – *Miejsce, które leczy rany*

II miejsce: Balbina Michalczyk-Dutkiewicz – *Zniewolone umysły*

III miejsce: Wojciech Gosek – *Wspomnienie*

Wyróżnienia:

- za utwór poświęcony naszej Małej Ojczyźnie – Janusz Wańczura
- za utwór napisany w języku śląskim – Anna Bula
- za wiersz – Beata Langa

Wybór laureatów okazał się zadaniem niezwykle wymagającym. Wszystkie nadesłane prace wyróżniały się wysokim poziomem artystycznym, głębią przekazu oraz autentycznością emocji. Autorzy dzielili się osobistymi wspomnieniami, refleksjami i uczuciami, przywołując miejsca szczególnie bliskie sercom mieszkańców naszego regionu. Każdy utwór stanowi cenny głos w opowieści o Górnym Śląsku – jego tradycji, historii i języku.

Wszystkim autorom składam serdeczne gratulacje za twórcze zaangażowanie, pasję i odwagę w dzieleniu się własnym słowem. Państwa prace są nie tylko wyrazem literackiego talentu, lecz także świadectwem troski o dziedzictwo kulturowe Górnego Śląska.

Szczególne podziękowania kieruję do Komisji Konkursowej za rzetelną i wnikliwą ocenę nadesłanych tekstów,

a także do wszystkich uczestników – za entuzjazm, wrażliwość i chęć utrwalania lokalnych historii.

W Państwa ręce oddaję zbiór utworów pisanych w języku polskim i śląskim – książkę, która wzbogaca dorobek literacki Górnego Śląska i przypomina, że tradycja, język i pamięć to wartości łączące pokolenia.

Niech ta publikacja będzie wyrazem szacunku dla tradycji i tożsamości naszego regionu, a zarazem hołdem dla twórczej pasji jego mieszkańców, którzy poprzez słowo ocalają od zapomnienia obrazy Śląska. Niech stanie się inspiracją do dalszego odkrywania i pielęgnowania lokalnych historii – zarówno tych już zapisanych, jak i tych, które dopiero czekają na swoje opowiedzenie.

Z wyrazami uznania i wdzięczności dla wszystkich autorów, którzy podjęli to twórcze wyzwanie i podzielili się z nami częstką swojej historii.

Bogumiła Śliż
Dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Siemianowicach Śląskich

GÖRNY ŚLŌNSK MO SWOJA HISTORYJŎ

– pisanŏ niy ino datami i faktami, ale tyż codziynnym życiym jego miyszkańcŏw. To je regiŏn bogaty we tradycyje, ze swojim charaktyrym i niypowtŏrzałnŏm tożsamościŏm, keryj źrŏdłym sŏm ludzie – ich spŏminki, uczucia i doświadczynia. Ksiŏnżka, co jŏm dajemy Wŏm do rŏnk, to piykne świadectwo tyj żywyj historyje.

Ta publikacyjŏ to niy ino zbiyr literackich ōsprowek, ale tyż swojistnŏ kronika lokalnyj pamiynci. Kożdy tekst to ōsobnŏ gŏdka, we keryj ōdbijajŏm sie dzieje, tradycyje i codziynność naszyj spŏlnoty. To historyje unikatowe, prawdziwe i poruszajŏnce – pokozujŏm bogactwo emocyi, wrażliwości i naszego jynzyka – tak polskigo, jak i ślŏnskigo, co je niyrozlŏcznŏm czynściŏm naszyj kulturowyj erbowizny.

Ksiŏnżka powstała z inicjatywy Miejskij Bibliotyki Publicznej we Siemianowicach Ślŏnskich w ramach ōgłoszŏnego konkursu literackiego „Gŏrny Ślŏnsk (tradycje, historyjŏ, jynzyk)”.

Cyl tego przedsiwziynciŏ to było coby zachyńcić ludzi do twŏrczego wyrożanio swojij regionalnyj tożsamości i dokumyntowanie lokalnych historyji a spŏminkŏw.

Na konkurs prziszły 32 prace we roztŏmajtych formach: ōsprowki, spŏminki, bojki, ballady, wiyrsze i zopiski spamiyntnikowe. 6 paŏdziyrnika 2025 roku we Filiji nr 9

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Anny Szaneckiej we Siemianowicach Śląskich odbyło się posiadowanie Komisji Konkursowej, kero ôcyniała te prace. Po pozorym przejezdrzeniu zgłoszonych tekstów jury prziznało tukej nagrody:

I miejsce: Tatiana Wiśniewska – *„Miejsce, które leczy rany”*

II miejsce: Balbina Michalczyk-Dutkiewicz – *„Zniewolone umysły”*

III miejsce: Wojciech Gosek – *„Wspomnienie”*

Ponadto prziznano wyróżnienie:

- za utwór ô naszymy Małym Ojczyźnie – Janusz Wańczura,
- za utwór napisany po ślōnsku – Anna Bula,
- za wiersz – Beata Langa.

Wybôr laureatówniy bōł leki – wszyjske nadesłane prace miały wysoki poziôm artyzmu, głymboki przekôz i szczerôść emocyji. Autôrzy dzielili sie swoimi spôminkami, przemyśleniami i uczuciami, przywôłujōnc miejsca bliske sercōm Ślōnzokōw. Kōždy utwór to cynny głōs we ôpowiysci ô Gōrnym Ślōnsku – ô jego tradycjach, historyji i jynzyku.

Wszyjskim autōrom szczerze gratulujemy twōrczego zaangażowaniō, pasyje i ôpowogi, coby dzielić sie swoim słowym. Wasze prace to niy ino dowōd literackigo talyn-tu, ale tyż świadectwo staranio ô naszo kulturowo erbowi-zna. Podziynkowania kerujemy do Komisji Konkursowej za rzetelnō i pozornō ôcyna przisłanych tekstów, a tyż do wszyjskich uczestnikōw – za wrażliwôść, entuzjazm i chynć utrwalaniō lokalnych historyji.

Wōm, drodzy czytelnicy, dajemy do rōnk zbiyr utworōw pisanych po polsku i po ślōnsku – zbiyr, co z bogoco lite-

racki dorobek Gõrnego Šlõnska i przypomino, co tradycjõ, jynzyk i pamiynć to sõm wartości, kere łõnczõm pokolynia.

Niyh ta ksiõnżka bydzie wyrazym szacunku do tradycyi i tożsamości naszego regiõnu, a tyż hołdym dlo twõrczyj pasyje òd Šlõnzokõw, co poprzez słowo ôcalajõm ôbrazy Šlõnska òd zapõmniyniõ.

Niyh bydzie inspiracyjõm do dalszego ôdkrywaniõ i fle-gowaniõ naszych lokalnych historyji – tych już zapisanych i tych, co durś czekajõm, coby je ôpedzieć.

Z wyrazami uznaniõ i wdziynczności dlo wszyjskich au-tõrõw, co podjynli te twõrcze wyzwanie i podziylili sie z nami tajlõm swojij historyje.

*Dyrektõr Miejskij Bibliotyki Publicznej
we Siemianowicach Šlõnskich
Bogumiła Šliż*

AUTORZY:

Tatiana Wiśniewska	
<i>Miejsce, które leczy rany</i>	13
Balbina Michalczyk-Dutkiewicz	
<i>Zniewolone umysły</i>	27
Wojciech Gosek	
<i>Wspomnienie</i>	43
Janusz Wańczura	
<i>Jedyn dziuń we familoku</i>	47
Janusz Wańczura	
<i>Łodpust u świnyntego Antonika</i>	49
Janusz Wańczura	
<i>Mój Heimat – czyli tragedio jednego Ślonzoka</i>	51
Anna Bula	
<i>Bajka ło tym jak chop swoji zmierzłyj babie pomog</i>	53
Beata Langa	
<i>Poemat o Śląsku</i>	59
Oliwia Adamiec	
<i>Dawnych wspomnień czar</i>	60
Zuzanna Bielewicz	
<i>Stanisław Mastalerz – historia (nie)zwykła</i>	62
Dawid Blot	
<i>Kartka z rodzinnego pamiętnika</i>	72
Łukasz Cieřlik	
<i>Po dwu stronach barykady</i>	74
Piotr Cieřlik	
<i>Na Grubie</i>	90
Balbina Michalczyk-Dutkiewicz	
<i>Co, kaj, kedy</i>	91
Gabriel Gorel	
<i>Prawdziwe Serce Śląska</i>	97

Marian Jadwiszczok	
<i>Ficynus i Katowicera</i>	105
Zdzisław Janeczek	
<i>Glossa do dziejów siemianowickich biedaszybikarzy</i>	113
Helena Majchrowicz	
<i>Pożenieni</i>	126
Stefan Maruszczyk	
<i>Opowieści o Georghutte i mieszkańcach</i>	135
Stefan Maruszczyk	
<i>Siemianowickie rojbry, czyli gra we fyniole</i>	137
Stefan Maruszczyk	
<i>Wigilijna opowieść</i>	141
Marta Morawiec	
<i>Ziemia czarno</i>	143
Agnieszka Opara	
<i>U nos tradycji wiele</i>	144
Norbert Rycman	
<i>Żal za zapachem dymu</i>	146
Irena Skwara	
<i>30 lat Muzeum Miejskiego</i>	147
Irena Skwara	
<i>We emeryckim szranku</i>	148
Irena Skwara	
<i>Srebrny jubileusz</i>	149
Irena Skwara	
<i>Wspomnienia z RODOS na michałkowickim Maroku</i>	151
Andrzej Suchowski	
<i>Ballada o Królu Hołdów i ptokorzach</i>	155
Julia Szubert	
<i>Tukej, kaj czuja się sobą</i>	161
Joanna Ziętał	
<i>Pamiytnik Aśki</i>	164

MIEJSCE, KTÓRE LECZY RANY

Tatiana Wiśniewska

Początek zawsze będzie początkiem. Może być i końcem, albo też środkiem. Ale tylko może. Za to początkiem będzie zawsze. Tak było i tego dnia. Zwykły, nieco ponury poniedziałek – zwykły początek tygodnia dla większości pracowników kopalni “Dachs”. Jednak dla jednej osoby, coś w tym dniu czyniło go wyjątkowym. Dźwięki rozchodzące się po zakładzie nie różniły się niemal niczym od tego jak brzmiały codziennie. Większość górników narzekała z powodu niewyspania, inni zaś, że mimo nadchodzącej wiosny pogoda nie zmienia się ani odrobinę, przez co znów od topniejącego śniegu przemokły im buty. Dzwonek oznajmujący odjazd bądź przyjazd windy był równie głośny co zawsze, a hałas z dołu był ledwo słyszalny, lecz przyprawiający o migrenę. Jedynym co się tego dnia wyróżniało, była rozmowa w portierni:

– Lubich, Teodor Lubich – przedstawił się młody mężczyzna.

Wyglądał on co najmniej dziwnie w miejscu takim jak to, gdyż wyglądem przypominał on bardziej aniołka niż górnika. Wzrostem może i nie przypominał dziecka, lecz jego twarz to inna sprawa. Jego jasne oczy, nieduży nos i ogólnie delikatne rysy twarzy sprawiały, że człowieka nachodziła ochota uszczypnąć go w policzek i uśmiechnąć się miło.

– Lot? – spytała podstarzała kobieta zza lady.

Była to jedna z pracowników portierni. Mimo swoich lat umysł miała tęgi. Wielu pracowników “Jana Kantego” śmiała się, mówiąc, że “Baba jest równie tęga co jej rozum”. Jednak mimo wszystkich prześmiewek, Pani Zofija była ulubienicą każdego kto miał okazję bliżej ją poznać. Kobieta ta nie miała skrupułów i miała odwagę, dlatego zawsze mówiła wyłącznie prawdę. Mimo, że potrafiła dogryźć jak nikt inny, jej opinia zawsze była wysoko ceniona w zakładzie. Równie ceniony był jej ekwipunek, gdyż nigdy nie żałowała pomocy ahtlikiem lub dwoma.

– 25. Urodzony 8 kwietnia.

– Datom mi podej, myślisz, iże byda to rachować?

– 8 kwietnia 1921 – poprawił się mężczyzna, lecz zanim jego umysł zdążył skupić się na jakiegokolwiek myśli, kobieta zdążyła znów się odezwać.

– Co chłopaczysko, jak ty robi na grubie? Niy winiyn żeś być we szkole? – pani Zofija zaśmiała się nie odrywając wzroku od kawałka papieru, na którym zapisywała wszystko, co mówił jej mężczyzna, lub według jej uznania młody chłopaczek. Rzadko kiedy miała do czynienia z aż tak młodymi górnikami. Większość z nich dobiegała trzydziestki, a przynajmniej takich najczęściej widywała.

– Pytanie winno brzmieć: co robi na Ślónsku? Gada jak Warszawiak. Niy je żeś stond, prowda? – wtrącił się jeden z mężczyzn przeglądający coś w administracji. Nie wyglądał na zbyt zaangażowanego w swoją pracę.

– Z Krakowa przyjechałem. Szukałem pracy a przed wojną moja rodzina mieszkała w tych okolicach. Stwierdziłem, że kopalnia nie może być złym pomysłem.

Wspomnienie rodziny wyraźnie poruszyło chłopaka. Wciąż ciężko mu było poradzić sobie ze stratą jaką poniósł podczas wojny. W przeciągu kilku lat stracił wszystkich najbliższych. Był naocznym świadkiem śmierci swojej matki. To on musiał zakrywać oczy swojej młodszej siostry, gdy oficerowie zabierali ich ojca z domu. Stracił swój ukochany dom, przyjaciół, szkołę i wszystko co kochał. Wszystko za wyjątkiem owej siostry, która była jego główną motywacją do znalezienia pracy. Przyjęcie do pracy w kopalni "Dachs" było jedynym, co mogło uchronić ich przed śmiercią głodową.

– Patrzcie no go, wzruszył się chłopaczyna. Już już, niy gorączkuj sie ino, Lubich – uspokoiła go pani Zofija z lekko prześmiewczym uśmieszkiem na twarzy. Zanim wypowiedziała nazwisko mężczyzny musiała jednak spojrzeć jeszcze raz na swoją kartkę, by upewnić się, że właśnie tak się nazywa.

– Bier no sprzynt i zasuway do aufcuga. Wpiszemy cie w administracyje.

Niestety założenie Pani Zofiji było boleśnie trafne. Każde wspomnienie o rodzinie Lubicha przyprawiało go o ból serca. W końcu, kto byłby nieczuły na utratę swoich bliskich? Mężczyzna odsunął się od lady i skierował w stronę cechowni, gdzie czekał na niego sprzęt potrzebny do pracy. Po przejściu przez cechownię i markownię Teodor Lubich wyruszył w kierunku wind prowadzących w głąb kopalni. Wokół niego, czekając na windę, stało około pięćdziesięciu innych górników. Większość z nich była widocznie starsza od niego. Niektórzy odznaczali się błyszczącą łysiną, inni swoim wzrostem, jeszcze inni rysami twarzy, a byli i tacy, którzy nie wyróżniali się kompletnie niczym. W oczach

Lubicha wyglądali jak przeciętni, stereotypowi górnicy. Jednym z nich był Jan Bochon, który właśnie witał się ze wszystkimi. Prawdopodobnie, gdyby nie to, w życiu nie zwróciłby na niego uwagi. Jednak, jakby nie patrzeć, osoba witająca się z co najmniej trzydziestoma osobami na raz jest nie do przeoczenia. Mężczyzna w wieku około 50 lat, do którego każdy zwracał się inaczej, wydawał się nie być równie przygnębiony co reszta pracowników. Z uśmiechem na ustach podawał rękę kolejnemu ze swoich zaprzyjaźnionych współpracowników, gdy Lubich zdecydował, by również się z nim przywitać:

– Dzień dobry, Teodor Lubich, nowy w zakładzie – przedstawił się z lekko wymuszonym, grzecznym uśmiechem. Mężczyzna, któremu właśnie podał rękę zmierzył go wzrokiem, nie starając się przy tym o jakąkolwiek dyskrecję.

– Lubich, ja? Fajnie mi. Bochoń się kłania. Możesz godać mi Jan. Abo po mianu Bochoń – odpowiedział starszy mężczyzna. Jednak zanim zdążył odwrócić się na dobre, spojrzał raz jeszcze na Lubicha.

– Umiysz godać, prawda? Eli noleżno polszczyzną do ciebie gadać?

To pytanie zmieszało chłopaka, sprawiając, że jego mimika odpowiedziała za niego. Z tego co powiedział do niego Jan Bochoń, zrozumiał może co drugie słowo. To sprawiło, że na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech nieco inny niż chwilę temu. Teraz wyglądał na rozbawionego. Bochoń szturchnął go lekko w ramię i skierował się w stronę windy, gdy jej drzwi otworzyły się po rozbrzmieniu sygnału:

– Chodź, jademy – rzucił szybko mężczyzna, po czym wszedł do windy. Razem z nim do tego, co Lubichowi bar-

dziej przypominało metalową klatkę niż windę, wsiadła większość osób, które otaczały go przed chwilą. Przyszła też i kolej na niego samego. Dość niepewnym krokiem wstąpił do windy. Jednak jego nerwy musiało dać się wy-czuć, gdyż chwilę po zamknięciu drzwi do windy, Teodor poczuł czyjaś rękę na swoim ramieniu.

Ponownie był to Bochoń, który ze spokojem kiwnął mu głową na znak by się uspokoił. Mężczyzna pracował w tym miejscu od lat. Pamiętał, jak większość jego kolegów stresowała się pierwszym zjazdem windą. Zresztą, pamiętał, jak sam bał się tego momentu. Bądź co bądź, lecz było to jednak 150 metrów zjazdu pod ziemię. Nie każdy młodziak na co dzień schodzi na taką głębokość, a z pewnością nie ktoś, kto nawet nie posługuje się gwarą. Oczywiście było, że Lubich nie ma najmniejszego doświadczenia w pracy na kopalni, oraz co równie oczywiste dla pracowników "Dachs", to fakt, że Bochoń dobrze zaopiekuje się młodym.

Czas płynął, dni mijały, a wiosna zbliżała się coraz większymi krokami.

Wraz z poprawą pogody, pracownikom kopalni "Dachs" poprawiał się humor. Jedna tylko osoba wciąż była nieustannie przygnębiona, trudno było ukryć ten stan przed baczny i opiekuńczym okiem Jana Bochoń. Od dłuższego czasu już przyglądał się wiecznie zmarnowanemu młodemu Lubichowi. Nietrudno było zauważyć, że młody mężczyzna borykał się z jakimiś problemami. Problemem jednak dla Bochoń okazało się rozszyfrowanie, co konkretnie zaprzęta jego głowę. Stąd też wynikło działanie zazwyczaj bezpośredniego i prostego człowieka, jakim był Jan.

– Co taki przignymbiony chodzisz? Mynczy cie coś? Pogadać chcesz o tym? Achtlika bych zaproponował na rozluźnienie, ale niy byda modego rozpijaczał. Jeszcze skończysz jak tyn brynol Grucki – odezwał się raz podczas markowania.

Lubich patrzył na niego ze zmieszaniem. Widać było, że nie był przygotowany na takie pytanie, mimo, że z gwary rozumiał coraz więcej. Bycie otoczonym przez rodowitych Ślązaków mocno wpłynęło na poszerzenie jego słownika. Kilkukrotnie nawet posłużył się dobrze znanym mu słowem “gruba”, gdy mówił o kopalni. To wzbudzało w nim pewnego rodzaju dumę oraz poczucie przynależności do tego miejsca. Jego przywiązanie było spotęgowane faktem, że dzięki posadzie w śląskiej kopalni on i jego siostra mają w końcu co jeść. Satysfakcja, jaką odczuwał z uczenia się nowych słów popychała go do nauki gwary śląskiej, jednak nie braki w wiedzy sprawiały, że pytanie Jana Bochonia przyparowało go o dyskomfort. Powodem była myśl o otwartym przyznaniu się komuś, jak bardzo, tak naprawdę chwilę temu zakończona wojna, wpłynęła na jego życie i stan psychiczny. Z początku chciał zbyć Bochonia, powiedzieć mu, że nie ma czym się przejmować i to tylko gorszy humor, jednak coś sprawiło, że postanowił odpowiedzieć.

– Fest troskliwy jesteś. Abo to ino ciekawość twoja jest? – zaśmiał się pod nosem Teodor Lubich.

Naprawdę nie chciał tłumaczyć się przed twardym, o wiele starszym od niego mężczyzną, że czuł się jak zagubione dziecko. Nie chciał, by ten widział go jako kogoś słabego.

– Wejzdrzj no na siebie, godasz jak prowdziwy Ślonzok – uśmiechnął się starszy mężczyzna. Był szczerze zaskoczony.

ny, że młodziak z Krakowa naprawdę starał się nauczyć gwary. Zazwyczaj ludzie pokroju Lubicha, jakich spotykał Bochoń byli zadufani w sobie lub próbowali się wywyższać nad starego grubiorza. Jednak Lubich nie był jednym z tych, na których widok Bochoń wywracałby oczami.

– Może i troskliwy, może i ciekawy, a może oba? Jedno drugiego niy wykluczo, co niy? – zaśmiał się Bochoń.

– Co ja ci mam powiedzieć? Wojna się skończyła, ale co z tego, jeśli i tak nie zwróci mi to tego co utraciłem? Moja rodzina nie wstanie z grobu, pieniądze się nie rozmnożą, a moje życie nie wróci do normalności. Muszę utrzymywać siebie i siostrę, tłumaczyć jej, dlaczego rodzice już z nami nie mieszkają i że nigdy nie wrócą. Nikomu nie życzę tłumaczenia swojemu ośmioletniemu rodzeństwu, dlaczego oficerowie wyrwali naszego ojca z domu niczym drzazgę z palca. Dlaczego jeden z nich uderzył go jak nieposłusznego psa. Nikomu nie życzę bycia w takiej sytuacji, a co dopiero odpowiedzialności, jaka za tym idzie. Nie masz pojęcia, jak trudne to jest. Wtedy Jan przerwał jego wywód. Położył rękę na jego ramieniu i cmoknął ustami.

– Myślisz, iże jo tego niy przeżołch? Iże mie, abo kogo ino sam to obminyło? Iże moja familijo niy zginyła? Mody, mom 53 lata, zło tego świata już zdonżołch sie naogłądać i doświadczyć wyncyj anizeli jedyn roz. Uwiyrz mi, rozumia wszyjsko co czujesz. Ale jak już pedziołś, nic niy przywróci jejich do życio, nic niy swroci ci tego co stracone. Toż eli zamiartwianie sie tym ci pomoże? Zatrujesz sie ino życie, jeżli bydziesz chodzić tak zdołowany. Świat je lagramyncki, prawda, ale niy ino. Bez patrzynie na niego bez pryzmat tych wszyjskich ciyrpiyń niy dojdzdrzisz tego, iże je on tyż piykny.

– Jak ty to robisz...? – spytał z bólem duszy Lubich. Był zafascynowany tym, jak mężczyzna mimo wszystkich cierpień, jakich doświadczył, zawsze chodził uśmiechnięty, zawsze był pomocny, miły i troskliwy. Chociażby teraz. Mimo, że sam to wszystko przeżył i mógłby wyśmiać go za przeżywanie i bycie miłym, on zechciał pomóc.

– Oglondom. Prziglondom sie, podziwiom. Przizwolom sie zoboczyć pozytywne strony tego świata, co na niymu przyszło nom żyć. Wiysz, wychodzynie z domu i gruby tyż pomogo na usondek.

– To, co twoim zdaniem mam zrobić? Chodzić na spacer i przyglądać się światu? Chopie ja czasu na to nie mam. W domu mam małe dziecko, którym trzeba się zająć. Trzeba jej pomóc z nauką, uprać ubrania na następny dzień. To nie takie łatwe od tak wyjść sobie z domu i nie martwić się niczym – westchnął Lubich.

Jego młodsza siostra była jego największym skarbem, ale i utrapieniem. Musiał jednocześnie zastępować jej matkę i ojca, lecz wciąż być tym bratem, którego potrzebowała. Musiał pracować, zajmować się domem oraz pilnować jej edukacji. Bochoń nie miał takich problemów, nie miał żony ani dzieci, nie musiał przejmować się nikim innym poza sobą. Mógł więc pozwolić sobie na długie spacer po pracy, samemu wyznaczając sobie plan dnia. Jedynym, co go ograniczało, były godziny szychty.

– Mody, to niy muszom być baj Bóg wiy jak długie szpacyry. Wyjdz no iże ino z tego domu. Otwórz oczy na to co piykne zamiast skupiać sie na tym ćmawym koncie świata, co w niego strona je żeś swrocony – Bochoń uśmiechnął się miło. Mężczyzna był wyjątkowo optymistyczny i pozytyw-

nie nastawiony do świata, w którym żył. Mimo, że ledwo skończyła się okrutna wojna, podczas której mógł umrzeć milion razy na milion sposobów, podczas której wielu ludzi nie miało tyle szczęścia co on i nie udało im się uniknąć śmierci, on wciąż potrafił znaleźć coś pięknego, na czym można zawiesić oko i skupić się na moment.

– Znajdź no trocha czasu jutro po szychcie. Zabiorę cie w pewny plac, jeżeli chcesz. Pomoże ci to w odstresowaniu sie trocha. Ściepniesz z siebie cołko ta woga chociaż na chwila. Wyjdymy z Kantego i podymy zaroz sie przejść. Niy byda wyciongać cie z domu, ale zaroz po robocie niy bydzie nojgorziz, niy sondzisz?

– Skąd wyjdziemy? – Lubich zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, co jego kolega miał na myśli. Czy to było jakieś słowo z gwary, którego jeszcze nie znał? Czym do licha był kanty? Jakieś określenie na kopalnię? Nie pasowało, w końcu słowo „gruba” już znał. Na pracę też nie, to przecież robota. Szyb to burloch..., ale czym jest kanty?

– Mody, a jo myślołch, ize fto jak fto, ale ty bydziesz wie-dzioł. Kanty, Jon Kanty. Naszo gruba. To Niymszy nazwali ją „Dachs”. Ale przed wojnom to była gruba „Jon Kanty”. Durch je żech doś przywionzany do tego miana, jak i zresztą do wszyjskich polskich mian, musisz mi wyboczyć.

– Dlatego przedstawiasz się Bochoń, mimo, że w administracji wpisane jest Bochon? – spytał zaniepokojony Lubich.

– A skond ty Teo wiysz, jak jo je żech w administracyjo wpisany, hm? Ciekawski je żeś, co? – Jan uniósł brew, po czym pokręcił głową. Lubich wyglądał natomiast jakby słowa starszego mężczyzny go zestresowały. Fakt, spoglądał pani Zofiji na ręce, kiedy spisywała o nim informacje

pierwszego dnia. Może i był nieco zbyt ciekawski, nie potrafił zrozumieć, dlaczego niektórzy z pracowników mówią do niego Bochoń, a inni Bochon. Chciał wiedzieć, jak jego kolega naprawdę ma na nazwisko. Jednak zanim zdążył wydusić z siebie jakąś wymówkę lub wytłumaczenie, mężczyzna przed nim zaśmiał się.

– Ale racyjo mosz. Uzdanie wola kej ftoś godo do mie Bochoń. Tak to miano wymawiało polsko tajła mojj familije. Dycki miołch jakoś srogszo słabość do nich. Strona familije fatra, ta niymiecko, jejich tyż przołch, ale jednak familijo ze strony matki...Tych przołch cołkim sercym. Wiesz no, stary chop a durch syntymyntalny. Niy ważne, w każdym razie, jutro po szychcie, co ty na to? Dychniesz sie trocha.

– Jutro, po szychcie. Będę czekać pod ajnfartem. Siostra nie powinna się obrazić – Lubich uśmiechnął się na wzmiankę o swojej siostrze. Wiedział, że ta z pewnością będzie prosić, aby ten został w domu, że nie ma z kim się bawić, i że jego obowiązkiem jest zapewniać jej rozrywkę. Jednak mimo swojego marudzenia najważniejszym dla niej zawsze było szczęście brata.

Tak, jak i powiedział, tak też zrobił. Następnego dnia, zaraz po odmeldowaniu się w markowni i zostawieniu sprzętu w szatni udał się pod bramę wjazdową do zakładu. Młody mężczyzna, czekając na kolegę, oparł się o murek bramy. Na zewnątrz zakładu było znacznie spokojniej niż w środku, znacznie ciszej. W tamtym momencie zauważył, że nawet głowa go nie bolała. Teodor stał pod bramą, spokojnie czekając na przybycie starszego kolegi, jednak ten nie wydawał się spieszyć. Minuty mijały powoli, ciągnąc się moliźnie jak chmury na niebie.

Pogoda tego dnia była zaskakująco przyjemna. Przez ostatnie tygodnie przypominała ona bowiem bardziej początek zimy aniżeli wiosny. Jednak tego dnia? Śnieg zdążył stopnieć przed południem, wiatr był delikatny i ciepły, nie przyprowadził o dreszcze ani wychłodzenie palców u dłoni i stóp, nawet niebo wydawało się być bardziej błękitne niż zazwyczaj o tej porze było. Im dłużej Lubich stał przed wejściem na teren kopalni tym więcej zauważał. Dostrzegł sójki latające nad jego głową, które zaintrygowały go swoimi wyjątkowymi piórami, biały obłok na niebie, który kształtem przypominał żółwia, lecz żeby to zobaczyć Lubich musiał zmrużyć odrobinę swoje oczy. Zauważył również bujające się na wietrze gałęzie pobliskiego dębu, którego liście powoli zaczynały odżywać. Im dłużej przyglądał się temu krajobrazowi, tym bardziej oczarowany nim się stawał. Czuł, jak spokój powoli przepełnia jego umysł. Dawno nie czuł się aż tak zrelaksowany. Mimo, że nie robił nic specjalnego, czuł się jakby wypoczywał, co rzadko mu się zdarzało. Jednak z podziwiania okolicy wyrwał go szum rozmów. Reszta górników zaczęła opuszczać zakład, każdy po kolei przechodził przez bramę. Co zauważył Teodor, nieco go zszokowało. Żaden z nich nie wydawał się zauważyć pięknego obrazu przed nimi. To sprawiło, że mężczyzna zaczął się zastanawiać. O czym musieli myśleć, by przeoczyć ten wyjątkowy dla ostatniego miesiąca błękit nieba? Czy mieli coś ważnego na głowie? Martwili się czymś? Zanim jednak zdążył odpowiedzieć sobie na którekolwiek z tych pytań zauważył wśród wychodzących pracowników osobę, na którą czekał. Jan Bochoń uśmiechnął się przyjaźnie na jego widok:

– Musisz mi wybaczyć spóźniny. Miałem coś ważnego do zrobienia... – tłumaczył się mężczyzna, lecz rozkojarzenie

Teodora dało mu do zrozumienia, że jego mały plan działa – Chocież we szczyrze bez godanie niy wyglondosz na sfrustrowanego. Nawet choby podobało ci sie stonie sam.

– Czemu żaden z nich nie zatrzymuje się, żeby popatrzeć? Dzisiejszy dzień jest piękny, a oni? Nawet tego nie widzą. – Lubich spytał przyglądając się twarzom kompletnie niezainteresowanych widokiem wokół nich górników. Zdaniem Teodora zachowywali się jakby widywali go codziennie. Jakby to nie było nic nowego lub nadzwyczajnego. Mimo, że na nim samym krajobraz ten wywarł przejmujące wrażenie, oni byli niewzruszeni. Jakby byli przyzwyczajeni.

– Je żeś świadomy, iże wyglondo sam tak samo od tydnia? – to zszokowało Lubicha. Od... tygodnia? Prawdę mówiąc od długiego czasu nie miał głowy do przyglądania się przyrodzie. W końcu miał ważniejsze sprawy niż patrzeć na ptaki czy niebo. Wciąż jednak nie dowierzał, że przeoczyłby taki widok. Odkąd wybuchła wojna, wszystko dla niego wyglądało równie ponuro. Taki słoneczny, dość ciepły jak na początek wiosny, dzień zdecydowanie przykułby jego uwagę... prawda? Nie mógł być przecież aż tak przygnębiony.

– Nawet niy swrociłoś uwagi, co? Godołch, iże prziglonanie sie poprawio humor. I patrz no na siebie, nawet sie uśmięchoł kej sam prziszło żech, krom, iże nic cie niy rozśmieszyło... No, gotowy na szpacyr? Czy styknie ci tego cieśzynio sie światym na dzisioj?

Spacer ten może i był pierwszym, ale z pewnością nie ostatnim. Raz na jakiś czas mężczyźni wybierali się do pobliskiego lasu, czasem Teodor wybierał się tam samemu, a czasem nawet zabierał tam swoją młodszą siostrę Marysię. Z każdym kolejnym wyjściem Lubich zauważał coraz to zielen-

sze liście na drzewach oraz kwiaty przebijające się w trawie, odznaczające się jaskrawymi kolorami. Te szczególnie upodobała sobie dziewczynka, która z każdego spaceru z bratem wracała z małym bukietem, zrobionym z zawilców, szafirków i jaskrów. Widok siostry zbierającej kwiatki z uśmiechem, za każdym razem wywoływał uśmiech na twarzy Lubicha. Kilka razy nawet dał jej się namówić, by sam zbierał kilka z nich. Spacer z Marysią były czasem pełnym radości, odpoczynku i beztroski, za to towarzystwo Jana pozwalało Teodorowi na refleksje nad otaczającą ich przestrzenią. Mężczyźni często rozmawiali o przeżyciach to jednego to drugiego z nich, dyskutowali i podziwiali. Po dłuższym czasie Teodor, niegdyś tak zamknięty w sobie, wzruszający się i denerwujący na każdą wzmiankę o swojej rodzinie, opowiedział Bochoniowi o tym, jak jego życie wyglądało przed wojną. Opowiedział o swoim ojcu, matce, przyjaciółach. Co więcej, z czasem młodemu mężczyźnie z coraz większą łatwością przychodziło mówienie o tym. Częste spacer po okolicy pozwoliły mu zrzucić z siebie chroniczny stres i wieczne przygnębienie, co pomogło mu w pogodzeniu się ze stratą i z tym, jak wygląda jego życie. Oczywiście, nawet najpiękniejszy krajobraz i najwspanialsze rozmowy nie byłyby w stanie wymazać całkowicie bólu, jaki towarzyszył Lubichowi, jednak otoczenie, którym nauczył się cieszyć, zdecydowanie podniosło go na duchu. Nie był już jedynym, wiecznie sfrustrowanym i zniesmaczonym życiem grubiorzem. Nie czuł już tego przytłaczającego w każdym momencie bólu i ciężaru na sercu. Jego myśli nie były przepełnione żalobnym rozpaczaniem i ciągłymi zmartwieniami i co pozwoliło mu dostrzegać szczegóły, którymi nie zawsze były wyłącznie kwiatki, chmury czy młody liść na drzewie.

– Niy wyspałem sie, do diobła... Modo od rana skokała mi nad gowom i godała o jakichś gupotach. Za fest szumny brat musiołch jeji suchać, rzecz jasno – wywrócił oczami Lubich, który pierwszy raz narzekał Bochonowi na coś co śmiało można było nazwać głupotą. To sprawiło, że mężczyzna zaśmiał się cicho. Był szczerze zadowolony, że kole-dze udało się wyjść z tego stanu powojennej, ograniczającej depresji, nawet jeśli zajęło to trochę czasu. Oczywiście było, że człowiek tak skupiony na swoim cierpieniu, nie poprawiłby swojego stanu bycia w jeden dzień. Tylko głupiec oczekiwałby od Lubicha, że przejdzie się raz i powie z uśmiechem na ustach: “zobaczyłem dwa lisy, jednego jeża i moje nastawienie do życia się zmieniło.”

Prawdę mówiąc, w oczach Bochonia, Teodor i tak szybko wygrzebał się z tego w czym siedział po uszy. To przyprawiło go o pewien rodzaj dumy. Z jednej strony dumny z siebie, że to z jego pomocą stan psychiczny młodego poprawił się, z drugiej zaś, był dumny z tego miejsca. Był dumny z miejsca, które kochał. To te właśnie krajobrazy, to ten las, ta kopalnia, ci ludzie. To wszystko pomogło Lubichowi stanąć na nogi. Sam Lubich mówił, że gdyby nie praca w Kantym, nie miałby pieniędzy i chęci do życia. Bochoń był dumny, że jego dom, który kochał całym sercem uratował młodego Lubicha. Uratował, wyleczył i dał siłę, by zacząć nowy rozdział. Takie sytuacje dawały Janowi sporo do myślenia. Zastanawiał się wtedy, ile osób jeszcze znalazło swój dom, swoje bezpieczne miejsce na tych ziemiach. Serca ilu ludzi biją dzięki Śląskowi i dla Śląska. Nie mógł on przewidzieć ani obstawić konkretnej liczby, jednak wiedział, że miejsce takie jak to nigdy nie straci ludzi, którzy je kochają.

ZNIEWOLONE UMYSŁY

Balbina Michalczyk-Dutkiewicz

Siemianowice, czerwiec 1939 roku.

Czerwiec 1939 roku był rekordowo gorący. Promienie słoneczne, każdego dnia, oświeślały zakamarki siemianowickich placów i ulic. Ciepło wszystkim dawało się we znaki. Gdy 23 czerwca, o godz. 8.00, w szkole im. G. Piramowicza, rozległ się dzwonek uczniowie, zmęczeni codziennym upałem, nieśpiesznie zasiedli w ławkach. Tylko Gerhard Gbrys wydawał się ruchliwy i spięty. Powodem zdenerwowania młodego człowieka był egzamin z języka polskiego. Dla Gerusia, z krwi i kości Ślązaka, polskie deklinacje i koniugacje to była „czarna magia”. Za chwilę, na ostatniej w tym roku szkolnym lekcji, wszystko miało się rozstrzygnąć. Groziło mu repetowanie w szóstej klasie, a na to nie mógł pozwolić.

– Siadaj ze mną – Gerhard rozkazał Wiktorowi Byłcowi, koledze, który z języka polskiego był najlepszy w klasie.

– No coś ty, przecież ja zawsze siedzę z Zigą. Pani się zorientuje – z nietęgą miną odparł Wiktor.

– Siadaj i siedź cicho, a w razie czego podpowiadaj. Z Zigą siądzie Heinrich – postanowił Gerhard.

Nauczycielka już przy sprawdzaniu obecności zorientowała się, że uczniowie dziwnie się przesiedli i zapytała o powód tej roszady.

– A, bo proszę Pani, Zigfryd Ubman przez to, że śpieszył

się rano do synagogi, zapomniał książki. Henrich Ulrich powiedział, że mu w razie potrzeby pożyczę. Dlatego siedzą dziś razem – pewnie odpowiedział Gerhard.

– Gbryś, co ty za głupoty opowiadasz? Przecież Ubman zawsze z tobą siedział. Ty mu nie możesz, w razie czego, książki pożyczyć, tylko Henryk musi i dlatego nastąpiła zamiana miejsc? – zapytała nauczycielka, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Ja, nie mogę pożyczyć Zidze książki, bo ja, proszę pani, też zapomniałem. Jednak proszę się nie martwić, bo mnie książkę obiecał pożyczyć Wiktor. Dlatego właśnie Wiktor siedzi ze mną – ponownie pewnie odpowiedział Gerhard.

– Siadaj Gerhard, mam już dość tych twoich zawiłych wyjaśnień, a na takie się zanosz, bo musiałbym dalej zapytać czemu ty i Zygryd, po prostu nie mielibyście pożyczyć książki od kogoś, bez przesiadania się. Oj... dobrze, że za tydzień wakacje. Mam nadzieję, że 1 września wrócisz mądrzejszy. Nie będę cię już dziś pytać Gerhardzie Gbryś, daję ci trójkę z polskiego na koniec. Musisz, nauczyć się jednak, na pamięć wiersza „Powrót taty” Adama Mickiewicza. Zgłosisz się do mnie 1 września, żebym sprawdziła twoje umiejętności – zawyrokowała nauczycielka.

– Dobrze, proszę pani – z uśmiechem, od ucha do ucha, odpowiedział Gerhard i puścił do kolegów perskie oko.

– Po szkole, przy Panience – siadając, Gerhard szepnął do Wiktora, Heinricha i Zigi.

Kiedy spotkali się, opodał szkoły, przy Panience Heinrich wskoczył Gerhardowi na plecy i powiedział:

– Gratuluję, ty śląski yjzlu!

– Heinrich, Szwabie poukładany, musisz się jeszcze dużo od nas nauczyć. Nie Żydku i Gorolu? – powiedział Gerhard szukając aprobaty w oczach Zigi i Wiktora.

– Du bist dumm! – stwierdził Heinrich i zamachnął się na Gerharda, ale ten się uchylił.

– Po coś nas tu wołał? – już po polsku zapytał Heinrich.

– Jak to, po co? Koniec roku, co robimy w wakacje? – zapytał Gerhard, który miał taką naturę, że lubił planować.

– Ha, ha, ha... Ty to chyba masz uczyć się „Powrotu taty” jak nie chcesz od taty dostać po zadku baty – ze śmiechem stwierdził Ziga.

Uwaga Zigi, na moment rozbawiła wszystkich. Gdy śmiechy ucichły, Heinrich poważnie powiedział:

– Mein fater godo, że wojna bydzie i że trza się szykować.

– Nie będzie wojny, Hitler nie zaatakuje Polski, bo boi się Anglików i Francuzów. Tak mój tate uważa – wyraził opinię swojego ojca Ziga.

– Tak samo, mówi mój starszy brat – przytaknął Zigiemu Wiktor, który nie mógł powołać się na ojca, bo ten zginął zeszłego roku na kopalni Richter.

– Słuchajcie, co my tu bydymy rozprawiać o wojnie, bierymy bal i idymy na Iskra albo do Pszczelnika – zakończył te poważne rozmowy Gerhard, dla którego piłka nożna była najważniejsza w życiu.

W czerwcu 1939 roku czwórka dobrych przyjaciół, urodzonych w Siemianowicach, zachowywała się beztrzesko, bo nie wiedziała jaką przyszłość zafundowali im dorośli.

Bonn, Auschwitz, Laurahütte, Katowice

30 czerwca 1999 roku.

Starszy człowiek z małą walizeczką wyszedł z domu przy Reuterstrasse 38. Na parkingu, przy chodniku, czekała taksówka. Staruszek wsiadł i wydał kierowcy polecenie zawiezienia na lotnisko Bonn-Kolonia. Gdy samochód przemierzał ulice, zrodziły się w głowie starca dwie myśli. Jedna, że te miejsca tutaj i ci ludzie są mu zupełnie obcy. Druga, że dobrze robi, pomimo zniechęcających słów córki i odczuwanego strachu, że wyrusza w tę podróż.

Nie minęły 3 godziny i samolot wylądował w Pyrzowicach. Oddając dokumenty starszego pana, ładna blondynka w mundurze polskiej straży granicznej, uroczo się uśmiechnęła i po niemiecku powiedziała:

– Willkommen in Polen Herr Ulrich. Wir Wunschen Ihnen einen angenehmen Aufenthalt in unserem Land.

– Dziękuję – odpowiedział po polsku witany. Jednocześnie pomyślał, w moim kraju kobieto. To przecież mój kraj, bo tu się urodziłem.

Przed lotniskiem czekał na niego umówiony kierowca, który zgodził się obwozić przybysza po Polsce.

– To co mistrzu, może na początek jakiś obiadek przetrącimy? – zagadnął zleceniobiorca.

– Nach Auschwitz bitte, obiad zjemy później – odpowiedział Heinrich Ulrich.

Nigdy nie był w Oświęcimiu, choć bardzo dużo o nim słyszał. Nie rozumiał wybuchającej co chwila dyskusji na temat tego czy to polski, czy niemiecki obóz zagłady. Prze-

cięż wszyscy światli ludzie wiedzą, że to hitlerowcy czyli Niemcy zaplanowali i zrealizowali tę pozbawioną człowieczeństwa eksterminację. Nie potrafił się przemóc, żeby przyjechać tu wcześniej. Bał się, że odwiedzenie tego miejsca będzie dla niego zbyt bolesne. Jednak musiał to zrobić, musiał to zrobić jeszcze przed śmiercią. Całe życie myślał o nim... o Zigfrydzie Ubmanie, o przyjacielu, o niemieckim Żydzie, z którym dzielił ławkę w szkole im. Piramowicza w Siemianowicach i grał w futbol na Iskrze. Ostatni raz widzieli się w maju 1942 roku. Teraz zobaczył go ponownie i zapłakał. Zobaczył Zigę na fotografii w bloku nr 4 obozu Auschwitz. Pamiętał, że kolega miał piękne falowane czarne włosy i białe zęby, które pokazywał przy każdym uśmiechu. Młodzieniec na zdjęciu był przeraźliwie smutny i spoglądał na niego oczami, które niby patrzą, ale nic nie widzą.

– O mein Gott – powiedział tak rzewnym głosem, że zwiedzająca obóz, rozbrykana, izraelska młodzież nagle uciszyła się i z zaciekawieniem zaczęła przyglądać się Heinrichowi.

– To Pana krewny? – zagadnęła przewodniczka.

– To mój przyjaciel – odpowiedział Niemiec i oddalił się, bo nie zniósłby dalszych pytań.

Przeszedł przez cały obóz i już wiedział, że pomimo, iż tego nie planował, to musi z kimś porozmawiać o tym wszystkim co się stało. Musi. Z przedwojennej czwórki przyjaciół w Siemianowicach nadal mieszkał Wiktor Bylc. Jakiś czas temu Henrich znalazł numer telefonu i adres dawnego kolegi w starej książce telefonicznej. Nie miał do tej pory odwagi zadzwonić. Bał się rozgrzebywania starych ran, jednak coś go ciągnęło do tych miejsc, gdzie wszystko się

zaczęło i gdzie wszystko się skończyło. Gdy wsiadł do samochodu westchnąwszy powiedział:

– Jademy do Laurahütte.

– Laurahütte? A gdzie to niby jest? – zapytał kierowca.

– Gdzie, gdzie?! Na Śląsku! A Siemianowice, wie pan gdzie są?! – wykrzyczał Heinrich.

– Siemianowice, tak wiem, proszę bardzo już jedziemy – odparł grzecznie kierowca, który nie chciał gościa przywołać do porządku, bo liczył na sowity napiwek.

Kiedy wjeżdżali do Siemianowic, od strony Sadzawek, Heinrich kazał kierowcy zwolnić i oglądał z zaciekawieniem mijane na ulicy Wandy kamienice. Choć wyglądały okropnie, bo nie były restaurowane od czasów swojej świetności, to Heinrichowi jawiły się jako elementy baśniowej, jakże odległej czasowo, przeszłości z dziecinnych lat. Uśmiechnął się. Tutaj, przy witrynie domu towarowego pani Kołodziej, Geruś o mało nie wyleciał w powietrze. Kupił korki do straszaków i groszek strzelający, schował do kieszeni spodni i żeby ich nie zgubić zaczął potrząsać nogawkami upychając strzelający arsenał. Nagle jedna z kieszeni, ta z groszkiem wybuchła. Huk był na całą ulicę i kolonię Wanda. Dobrze, że chachorowi nic się nie stało. Co prawda został w portkach o jednej nogawce i dostał lejty od fatera, ale po tym wypadku czerwony zadek był jedynym uszczerbkiem na ciele kolegi. O..., a tu Jarząbek miał skład skór, a Müller pralnię i prasownię. Tu było kino Apollo, a za nim administracja Fabryki Kotłów Fitznera. Naprzeciwko fabryka Fitznera i jego willa. Kościół św. Krzyża i dalej to już ulica Bytomska. Na odpust w Krzyżu zawsze rozkładały się budy. Pewnego razu, złodzieje przewrócili budę z kanolda-

mi. Dzieci miały uciechę, bo zbierały te mleczne cukierki i wpychały do buzi. Właściciel budy krzyczał, a złodzieje uciekali ze zrabowanymi z kasetki pieniędzmi. Stójkowy biegł za złodziejami ile sił, ale oni byli zwinniejsi to ich nie dogonił. Oj, jakie piękne to były czasy, a kanoldy palce lizać.

– Dobrze, na dziś starczy. Niech pan teraz zawiezie mnie do hotelu Katowice, a jutro proszę być o godzinie dziesiątej – stanowczo poprosił Heinrich.

W recepcji hotelu Heinrich Ulrich zlecił połączenie z numerem telefonu 228662. Recepcjonistka, wybierając numer, słuchawkę trzymała z dala od ucha, bo nie chciała naruszyć swojej trwałej ondulacji. Heinrich słyszał, że nikt nie odbiera. Nagle, jednak abonent wybranego numeru wreszcie odezwał się i gdy recepcjonistka podała Ulrichowi słuchawkę, to ugięły się pod nim nogi.

– Halo... Halo, tu... tu Heinrich. Czy mogę rozmawiać z Wiktorem? – rozmowę niepewnie starał się nawiązać przybysz z Niemiec.

– Co za Heinrich? – niecierpliwie zapytał głos po drugiej stronie linii telefonicznej.

– Guten Abend, to znaczy dobry wieczór, ja chciałem rozmawiać z Wiktorem Bylc. Tu Heinrich Ulrich, dawny kolega Wiktora – usprawiedliwiając się przemówił Heinrich.

Po tych słowach zapanowała cisza, która przybyszowi z Bonn wydała się wiecznością i gdy tracił już nadzieję na dalszą rozmowę usłyszał.

– Serwus Heniu, tu Wiktor. Ależ mnie bracie zaskoczyłeś. Skąd dzwonicz? Jak mnie odnalazłeś? Co u ciebie? – lawiną pytań zasypał Heinricha Wiktor.

– To richtich ty, Wiktor? – ze łzami w oczach, łamiącym się i niedowierzającym głosem sprawdzał Heinrich, po czym dodał – Wiesz jo przyjechał na Śląsk, jestem w Katowitz, czy mogiemy się jutro spotkać?

– No jasne Heniu, kopa lat, to gdzie się spotkamy? – entuzjastycznie zapytał Wiktor.

– To może kole naszej szkoły, przy Panience, gut? – niepewnie zaproponował Heinrich.

– Zatem o godz. 11, jutro przy Panience. Tak się cieszę. Do zobaczenia – zakończył rozmowę Wiktor.

Siemianowice, 1 lipca 1999 roku

Kierowca był punktualnie, co zdziwiło Heinricha, bo pamiętał, że Polacy nigdy nie przywiązywali się do umówionej godziny. Przez głowę przebiegła mu myśl, że przez lata jego nieobecności na Śląsku, wiele musiało się zmienić.

– Jedziemy do Siemianowic na Schlossstrasse – wydał polecenie.

– Czyli do Siemianowic na ul. Zamkową, tak? – upewnił się kierowca.

– Ja, na Zamkową – odparł Henrich i zatopił się w myślach. Co mam powiedzieć Wiktorowi? Co on powie? Jak przebiegnie ta rozmowa? Znów zaczęło mu towarzyszyć uczucie strachu. Z tego zamyślenia wyrwał go głos zza kierownicy.

– Przepraszam Panią, gdzie tu jest ulica Zamkowa w Siemianowicach? – kierowca otworzył okno i zaczępił idącą chodnikiem młodą kobietę.

– Zamkowa? – zdziwiła się pytana – Takiej tu nie ma, no, chyba że przy zamku Donnesmarcków, to w tamtym kierunku, ale nie jestem pewna.

– Jedź pan tu w prawo przy kościele. To jest Zamkowa – wskazał kierunek jazdy Heinrich.

– Tu jest 1-go Maja, nie Zamkowa, ale jak pan sobie życzy – kierowca dał za wygraną.

– Tam, na końcu będzie kapliczka, tam wysiądę. Proszę przyjechać tu po mnie o siedemnastej – wydał polecenie zdenerwowany Heinrich. Rozdrażnienie osiągnęło apogeum, a wywołane to było strachem przed spotkaniem z Wiktorem.

Pod kapliczką słupową, poświęconą Matce Boskiej, stał wysoki, szczupły, szpakowaty pan i przyglądał się przechodniom. Heinrich rozpoznał w nim Wiktora. Gdy zbliżył się do stojącego mężczyzny, ten z nieukrywaną radością rzucił mu się na szyję i podał na powitanie rękę. Heinrich również podał rękę, ale lewą, bo podanie protezy prawej ręki nie byłoby na miejscu. Wiktor zdziwił się, ale przyjął lewą dłoń kolegi.

– Chłopie tyle lat, tyle lat. Nie mogę uwierzyć, że cię widzę. A ty wiesz, że Gerhard, zanim wyjechał to zawsze do mnie mówił oni, to znaczy ty i Ziga, tu wróć. Tak gadał. No i jesteś bracie, jesteś – łzy pojawiły się w oczach Wiktora, ale szybko zniknęły w kącikach powiek.

Po tym powitaniu Wiktor zaproponował:

– Wiesz, tu w parku jest taka knajpa „Parkowa” tam siądziemy i pogadamy. Dobra?

– No ja, gut – zdawkowo z przejęcia stwierdził Heinrich.

Kiedy siedli pod parasolami na tarasie „Parkowej” zamówili po kuflu piwa.

– To bydzie piwo z dawnego browaru Mokrskiego? – zapytał Henrich.

– Nie, skąd, browar po tych przemianach gospodarczych lat 80-tych splajtował i już tam nie warzą piwa. Dużo się Heniu zmieniło w naszych Siemianowicach, bardzo dużo. Gerusia i Zigiego nie ma. Tylko ja tu zostałem. No, a teraz ty się pojawiłeś. Dobrze, żeś przyjechał, dobrze – zagaił rozmowę Wiktor.

Zamilkli. Dzieliło ich tyle lat rozłąki, osobno przeżytych chwil. Łączyły jedynie szkolne i koleżeńskie lata. Ogrom myśli kłębił się w tych dwóch, różnych mentalnościowo głowach.

Co tu mówić, co wspominać, co wyjaśniać. Jak to się stało, że tych czterech pełnych planów i nadziei kolegów urodzonych w Siemianowicach oddaliło się tak od siebie?

– Jak mnie znalazłeś? – zagaił rozmowę Wiktor.

– W telefonbuch zech cie znod, już dawno, ino bołech sie zadzwonić – przyznał się Heinrich. Po czym niespodziewanie dodał – Widziołech go. Wczoraj byłech w Auschwitz i widziołech go... widziołech go – łamiącym się głosem powtarzał Heinrich – Jego zdjęcie wisi w pawilonie 4. Patrzył na mnie tymi swoimi czornymi, dużymi ślepiami. On mi chyba nigdy tego nie wybaczył, że my Niemcy tak z nim postąpili.

Ze zdziwioną miną podjął rozmowę Wiktor.

– Co ty mówisz Heniu, wy Niemcy? Przecież, on też był Niemcem. Nie pamiętasz jak we wrześniu 39 roku, gdy za-

częła się wojna, duża grupa Żydów uciekła z Siemianowic na wschód. Ubmanowie zostali. Pamiętam jak dziś, że tata Zigiego wtedy mówił: „My, choć Żydzi, to Niemiec i uciekać nie będziemy, nam tu nic nie grozi. Na Śląsku mieszkają różne narodowości, tu będzie inaczej niż w Rzeszy. Nic nam nie zrobi Hitler i jego poplecznicy”. On naprawdę wierzył w to, co mówił.

Zaległa cisza, którą przerwał Heinrich.

– Przez wojnę wszystko się wywróciło. Przecież wiesz, że maine Mutter urodziła się na Morawach. Kiedy z ojcem przyjechali do Laurahütte nie wiedzieli czy Siemianowice będą należały do Niemiec, czy do Polski. Jednak, gdy tu po powstaniu nastała Polska, to moja muter przekonała fatera, że skoro tu ma być Polska, to ja Niemiec mam chodzić do polskiej szkoły, bo tak powinno być. Wtedy muter postawiła na swoim, ale kiedy w 1939 r. pojawili się tu Niemcy, to ojciec nie chciał ustąpić i skoro nastały niemieckie rządy to kazał mi się zapisać do Hitlerjugend.

– Pamiętam – wtrącił Wiktor – pamiętam jak żeśmy cię z Zigą i Gerhardem zobaczyli w tym mundurku z czarną chustą i swastyką na ręku. Ziga myślał, żeś się przebrał dla hecy. Gerhard od razu powiedział, że to ojciec pewnie ci kazał się zapisać. Myśmy już wtedy wiedzieli, że ty nie będziesz chciał się z nami spotykać. Tylko Geruś miał cały czas nadzieję... Gadał „Ten Szwoab jeszcze do nos wróci”. Geruś, tylko on w ciebie wierzył... ten pocziwy Ślązak wierzył w ciebie do końca, nawet wtedy, gdy zobaczył cię pod kamienicą Zigiego. To było jakoś w 42 roku, wtedy wypędzano Ubmanów. Heniu..., myśmy tam byli i widzieli jak ty oddaliłeś się od twoich nowych kolegów w mundurkach

i podszedłeś do Zigi. Podszedłeś i popchnąłeś go krzyżąc: „du Judenschwein”. Myśmy to widzieli Heniu... – powiedział wolno Wiktor, jakby oglądał w swojej pamięci zapisane tam dawno obrazy i odczytał zanotowane w mózgu słowa.

Heinrich usłyszawszy to, pośpiesznie zaczął szukać w kieszeniach flakoniku z tabletkami. Wyciągnął biały krążek i połknął popijając piwem.

– Dlaczego, to zrobiłeś? – Wiktor pytaniem zakończył swoją wypowiedź.

Zapadła krępująca cisza. Po chwili Heinrich zrezygnowany odezwał się.

– Cokolwiek bych ci teraz pedzioł i tak mi nie uwierzysz. To wszystko nie ma sensu – Heinrich pośpiesznie zaczął spijać złocące się w kuflu piwo. Zamierzał zakończyć spotkanie.

– Spróbuj mi to wytłumaczyć Heniu, spróbuj – spokojnie zachęcił go Wiktor.

Heinrich zasępił się.

– Nie wiem, od czego zacząć – zastanawiał się Heinrich – może od tego, że mieliście rację. To fater kazoł mi się zapisać do Hitlerjungend. Ta organizacja, jak mówił ojciec, to miał być mój ticket do kariery. Wiktor, przecież ty wiesz jak od bajtla lubił żech aerofloty. To się zaczęło kiedych w 1931 roku obejrzał w Gleiwitz sterowca Graf Zeppelin. Od tego czasu ciągle rysowołech latające maszyny. Jeździłech do Katowitz na Muchowiec, na pokazy lotnicze. No ja, tak było Wiktor, jo chciał w przyszłości być pilotem, a fater

przekonał mnie, że tylko w Luftwaffe mogą spełnić swoje marzenie. Dobrym początkiem kariery w powietrznych siłach III Rzeszy, miała być przynależność do Hitlerjungend. Los jednak jest przewrotny. Nie zostałem pilotem, bo w 45 roku, po mobilizacji rzucili mnie na Wał Atlantyczny i tam granat rozerwał mi prawa dłoń. Musiałem pogrzebać marzenia o lotnictwie.

– To wszystko nie usprawiedliwia jednak tego, że zerwałeś z nami kontakt i tak potraktowałeś Zigmunda – twardo podsumował Wiktor.

– Byłem tchórzem – kontynuował Heinrich, – ty i Gerhard dalej spotykaliście się z Zygą, a mnie organizacja zakazywała takiego kontaktu. Byłem tchórzem., bałem się, zresztą całe życie się bałem., całe życie., teraz też.

Na chwilę zamilkł, bo do stolika podszedł kelner i zapytał, czy jeszcze coś podać. Wiktor zamówił dwie kawy parzone bez cukru, ale z mlekiem. Gdy kelner odszedł Heinrich ponownie zaczął opowiadać.

– Gdy dowiedziałem się, że rodzinie Ubman będą przesiedlać, pomyślałem, że muszą im jakoś pomóc. No ja, das habe ich mir gedacht. Tak pomyślałem. Kompletnie jednak nie wiedziałem jak. I wtedy przypomniałem sobie co zawsze mówił onkel Richard, że „Geld regiert die Welt” „Pieniądz rządzi światem”. Poszedłem do domu, ze szranku zabrałem das ganze Geld meine Eltern. Żeby nie być o nic podejrzanym, namówiłem kolegów z organizacji i poszliśmy oglądać jak eskortują Ubmanów. Jak nadarzyła się okazja zbliżyłem się do Zigi i odpychając go, i wyzywając wcisnąłem mu ganze geld. Wiktor, jo richtig wierz-

łech, że Ubmany przeżyją. Nikt przeca z nos nie wiedział co tam, gdzie przesiedlają Żydów się dzieje.

Znów zapanowała krępująca cisza. Przerwał ją Wiktor.

– A ty wiesz Heniu, że Geruś zawsze po tym incydencie mówił, że coś tu nie gra. On naprawdę w ciebie wierzył. Gerhard jak przyszli Ruscy, w 1945 został powołany do polskiego wojska, mnie nie wzięli, bo pracowałem na kopalni. No więc, gdy Gerhard wyjeżdżał z Siemianowic na front, to powiedział do mnie „Ty tu czekej na nos wszystkich, na mnie, na Zigusia i na Heinricha. Wszyscy wrócimy i znów pójdymy na Iskra zagrać w futbol”. Ten Ślązak cały czas wierzył w naszą przyjaźń. No i miał rację. Częściowo miał rację. Ty wróciłeś do Siemianowic.

– A co z nim, co z Gerhardem? – zapytał Heinrich.

– Nie wiesz? Zaginął. Zaginął podczas przeprawy przez Odrę w kwietniu 1945 roku. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Ani on, ani Ziga nie mają grobu. Tak jakby nigdy nie żyli – Wiktor zawiesił głos, bo do stolika podszedł kelner z kawami.

– Gerhard, borocek zawsze boł się wody. Był z nas najbardziej wysportowany, chcioł być przeca fusbalerem. Ciągłe łąził z ojcem na mecze Iskry Siemianowice. Pamiętosz niby sportsmen, a nigdy z nami nie chodził na Badyhała, bo boł się wody – przypomniał Heinrich.

– A wiesz od kiedy bał się wody? Gdy miał 3 latka, to wracając z ojcem z meczu z Iskry, poślizgnął się na grobli i wpadł do stawu przy Antoniku. O mało nie utonął. Popatrz wtedy się nie utopił, a ta Odra go pochłoneła – ze złością dokończył Wiktor.

Znów zamilkli i Wiktorowi wydawało się, że wszystko zostało powiedziane, gdy nagle Heinrich zapytał

– Wiktor, a co z waszą rodziną było po tym jak w listopadzie 1943 my wyjechali nach Nordrhein-Westfalen?

– No cóż, po wojnie przyszli komuniści i nastąpiła tu komuna. Pracowałem w szkole jako nauczyciel polskiego. Zapisalem się do partii. Wiesz, wierzyłem w te idee, co oni głosili: równość, braterstwo i takie tam. Wstyd mi teraz za to. Komuna była bezwzględna wobec inaczej myślących. Znów nas zniewolili i pomieszczeni nam w głowach jak podczas wojny. Nie ma co wspominać. Wiesz ja, brat i matka myśleliśmy, żeby wyjechać ze Śląska. My nie jesteśmy z dziada pradziada Ślązakami. Ja urodziłem się na Śląsku, ale rodzice pochodzili ze wschodniej Polski. Było ciężko, gdy na każdym kroku słyszałem, że jestem obcy, bo nie godom tylko mówię. Przyzwyczaiłem się jednak. Na szczęście moje dzieci już tego problemu nie mają. Wiesz, ja teraz bym się gdzie indziej nie przeniósł, bo nie odnalazłbym się w nowym miejscu. Heniu, muszę ci się czymś pochwalić. Pewnie nie wiesz, ale my, to znaczy moja rodzina podczas wojny pomagała Żydom wydostać się z tego nazistowskiego piekła. Za to otrzymaliśmy nagrodę Instytutu Yad Vashem.

– O to gratuluja. Jesteście bohaterami – stwierdził Heinrich, po czym dodał – Nie to, co ja.

Ponownie zapadła grobowa cisza, bo obaj rozmówcy pograżyli się w swoich myślach. Pierwszy odezwał się Heinrich.

– Co ja zrobiłem ze swoim życiem Wiktor, co zrobiłem? Wszystko chciałem poświęcić, żeby zostać pilotem, zdradziłem nawet was, moich kolegów dla kariery, której zech nie zrobił.

– A ja, Heniu nie lepszy byłem, uwierzyłem propagandzie sowieckiej i omal całkowicie nie zatraciłem się depcząc godność innych, słabszych ode mnie, a wszystko w imię idei wymyślonych przez jakiś oszołomów. Czy to jednak nasza wina, że tak robiliśmy? Nie, przecież myśmy byli tylko młodymi, niedoświadczonymi chłopcami z Siemianowic. To działania innych, pokroju Hitlera i Stalina, przyczyniły się do tego, że nasze umysły były zniewolone. Nie tylko Geruś i Ziga są ofiarami totalitaryzmów, my też nimi jesteśmy – swoją opinię wyraził Wiktor.

Zasępił się obaj. Nagle z „Parkowej” wyszła mała dziewczynka, z rozkosznymi warkoczykami, i na murek okalający taras rozsypała ziarno. Do karmy przyleciały dwa białe gołębie i spokojnie zaczęły jeść.

– Heniu, pamiętasz? Ojciec Gerusia miał gołębnik nad chlewikiem. Lubiłem patrzeć jak te ptaki latają. One zawsze rozkoszowały się swoją wolnością. Wiesz, o czym teraz pomyślałem, że nie chciałbym, aby moje dzieci i wnuki przeżywały takie traumy, jak my przeżywaliśmy i teraz przeżywamy – spokojnie powiedział Wiktor.

– Białe gołymbie, jak padała Tanty Gita, są łoznaką pokoju. Oby terażniejsze ludzie byli od nas mądrzejsi i już nigdy nie dali się łopętać ideom, które doprowadzą do zniewolenia ich umysłów, bo z tego ino zło wyniko. Zaczyno się nowy wiek, oby przebiegł bez wojny – dopowiedział Heinrich.

III MIEJSCE

WSPOMNIENIE

Wojciech Gosek

Gdzie się to podziały starcze ręce twe,
Które mocno mą duszę kształciły tak,
Czy zechciały w końcu zostawić mnie?
Abym teraz sensu musiał szukać, jak?
Ty mądrości swe latami mówiłaś mi,
Teraz od rozłąki naszej liczę dni.

Pamiętam dobrze, jakby chwilę temu,
Siedząc przy małym stoliku przy kawie,
Przysłuchując się bacznie głosu twemu,
Nie wiedziałem, czy śnię, czym jest na jawie,
Opowiadałaś mi o czasach dawnych,
Tradycjach, świętach i różnościach barwnych.

Ziemia, po której stąpam dziś ostrożnie,
Niby inna od tej, po której ty szłaś,
Mając wiosen tyle, co ja – dosłownie,
A jednak podobnie Śląsk tutaj czułaś.
Teraz mijam te same kamienice,
Mówię podobne do twych obietnice.

Te historie choć martwe, żywymi są,
Pod kolejną warstwą nowoczesności,
Surowe cegły cały czas się mieniają,
Skrzypiąca podłoga tu wita gości,

Język z sieni ochoczo dochodzi,
Kołocz na stole postawić się godzi.

Czyjaś *mamulka* jedzenie szykuje,
Malutki *ciarach* z kolegami goni,
Panna na rogu, przed kimś kwiaty kryje,
Górnika przy Barbórcie pieniądze trwoni,
W kuchni z *kokotka* kapie woda,
Między ludźmi panuje względna zgoda.

Kiedyś w parku na ławce z rana,
Rzucałaś gołębiom kruszyny chleba,
Teraz ja w tym miejscu trzymam ziarna,
Ptaszki choć różne, to ta sama gleba,
Co łez na nią spadały już tysiące,
Rozwiązując to, co kiedyś wiążące.

Teraz ciebie niestety tutaj nie ma,
Jedynie pamięć, gdy oczy zamykam,
Przypomina mi blask światła niczym ćma,
Blask starych dni, o nie już nie zapytam,
Ale szczęściem wryte są w mej głowie,
Jak miłość przekazana przez twe dłonie.

Kiedyś razem stojąc przy wielkim blacie,
Kroiłem z tobą twarde chleba kromki,
Ty wrzątek do miski wlałaś po czasie,
Szczyptę pieprzu i soli i śmiech gromki,
Tłusty kawał w wodzie roztopiłaś,
Później tą tradycją mile karmiłaś.

Innym razem będąc na wielkiej sali,
Gdzie gromada uczniów szczyrzyła zęby,
Stałem między nimi, wszyscy patrzyli,
Wtedy powiedziałaś: idź sobie tędy,

Dostałem *tytę* słodkości przeróżnych,
Małych, wielkich, krótkich, nawet podłużnych.

Pamiętam również, że gdy zaszło słońce,
Na *Polterabend* porcelana szykowana,
Razem trzymając dwa talerze lśniące,
Potem w piach zastawa malowana
Rzucona, wesele nam przypominała,
Na szczęście nowożeńcom się trząsała.

Pomiędzy odpustowymi budami,
Kupiłaś zabawkę na *placpatrony*,
Jedliśmy *maszkety* między bzdurami,
Co *potki* mówiły głośno jak dzwony.
Tak się na odpusty wtedy chadzało,
Wszystko mi beztroskę przypominało.

Na *Gyburstag* mój dania szykowałaś,
Wstążką kolorową dom ozdobiony,
Gości pierwsza w drzwiach przyjmowałaś,
Każdy zawsze był tak zadowolony,
Śpiewy, śmiechy, *geszynków* całe pola,
Długo trwało, nim przyszła późna pora.

Przy wigilijnym stole w twoim domu,
Oglądając uważnie łuskę złotą,
Słodząc herbatę odrobiną miodu,
Dzieciątko unosiło się za zorzą,
A myśmy życzyli sobie dobroci,
Niech nas *Pónboczek* chrześcijan ozłoci.

Na ogródkach koło wielkiego stawu,
Gdzie *beboki* w trawie się chowały,
Plewiliśmy marchew pewnego razu,
Chroboki między nami się błąkały,

Dni letnie sunęły jeden za drugim,
Malując się na niebie wieńcem długim.

Kiedy przyszedł czas na *czereśnie* majowe,
Wstrętne *szpoki* ich wszystkich nie wykradły,
Woda, cukier, *krauzy* wielkie, gotowe,
Ciotki kompot piły, do stołu siadły.
Co zostało, na zimę do piwnicy,
Słodkości byli to mili skarbnicy.

Długie tak były wspólne dni wieczorne,
Kiedy razem różności tworzyliśmy,
Nawet jeśli nieraz były pochmurne,
To i tak na koniec się cieszyliśmy.
Trwało to wszystko naprawdę lat wiele,
Mówię to szczerze, bez kozery, śmieie.

Czas piękny w przeszłości już się skrywa,
Choć spotkać można wszędzie jego resztki.
Jeśli tylko zaś w mej głowie bywa,
To niech obrazy będą podczas drzemki,
Wizją, mostem między nowym i starym,
Niech napełnią mnie wtedy szczęściem całym.

Ja zaś w pamięci mam te dni wszystkie,
Co stworzyły mnie takim, jakim jestem.
One ocieplają mi czasy brzydkie,
Są mi każdym twoim najmniejszym gestem,
Nawet, teraz gdy śmierć mi cię zabrała,
I miłość nam okrutnie wytargała.

Myśląc „Śląsk”, o tobie pomyślę właśnie,
To tutaj spotykam najśmielsze baśnie!

WYRÓŻNIENIE

za utwory dotyczące naszej „Małej Ojczyzny”

JEDYN DZIYŃ WE FAMILOKU

Janusz Wańczura

Łod rana we siyni rejwach jak pieron, bo chopy idom na szychta do roboty. Jedni na gruba, inksi do werku, jes tys milicjant, ale łonego żodyn nie umiy szczimać. Te, co niy majom jesce wody we doma, to się cisnom wele kokotka we siyni ze kiblami, waszpekami i konewkami, coby naloć wody ze mesingowego kokotka przy ausgusie.

Kole łosmyj idom dziecka do szkoły. Koždy ze pukelta-szom, kaj majom sznita ze tustym, abo ze marmeladom, ze sztachloków, co rośli we zogrodce na placu.

Potym cołki cas noleżoł do kobiyt. Jak się trefioły na siyni, to łosprowiały co tys kożdo bydzie dzisioj warzyć. Dorka bydzie mieć żur żyniaty, Rołza grochówa, a Tomali-no karminadle i pańćkraut. Jak keryj cegoś brakło, to leciała na sztand, abo do gorola, abo na Laurahita do Żyda, abo do Kołodzieja wele poczty. Na Laurahicie boł piekorz Świtula, co mioł nojlepsze żymły.

Jak jus chopy prziszli z roboty, a bajtle ze szkoły i boło jus po łobiedzie, to się začło alowanie. Chopy siedzieli kole gołymbnika łod Maksa i beblali ło szporcie, ło fusbalu, go-łymbiach i ło robocie. Casym kieryś przynios kwarytka sopcyku, to boł taki szpyrytus ze sokiyem ze edberów. Zaroz im lepij szła godka.

Kobiety mieli swoja ławka miyndzy chlywikami, a ha-siokiym. Tam dopiero boło godki ło wszytych, kierych niy boło na tyj ławce.

Łosprowiały ło tym, że Helga pitła z doma ze wojokiym, a cera łod Trudy jes zowitka. Resta placu to boło królestwo łod bajtlów. Grali we fusbal szmacianym balym, dwa łognie, dziołchy grali we klasy, abo kester wele klopsztangi. Lotali do wieczora, aże się ściymnioło. Potym boło ino słychać jak łojce wołają: Sztefek, Jorguś, Zefel, Hanzlik – do dom.

We doma mamulka cekali ze wieczorzom, zaś boł chlyb z tustym, abo ze margarinom. Casami jakoś bajlaga – ly-berwuszt, preswuszt, abo krupniok, żymlok, jak kieryś somsiód miół świniobicie. Jak bajtle pojedli, to ino się myć i spać. We sobota boło inaczej. Łojciec przynosiół z góry cynkowo waniynka, a na kachloku grzoł się kastrol ze gor-kom wodom. Tak my do tyj waniynki po kolei włazyli, a na końcu łojciec, coby się woda niy zmarnowała. Woda ze tygo kompanio wylywali my do hażlika we sieni, coby się ruły przepucowały.

Jak dziecka poszli spać, to mamulka ze tatulkiym mie-li trocha casu coby pogodać co trza komu pokupić. Tymu szczewiki, tymu galoty, abo jakie szaty dziołszkom. Casym łojciec puszczeni radyjo. Pisało, bucało, a łoni suchali po cichu tych richtig wiadomości we Wolnyj Europie, kaj go-dali jak jes po prowdzie na cołkiym świecie.

Dzisiej ta wolno Europa prziszła do nos i momy swo-boda we godce, myślyniu, ale nom Ślonzokom niy trza tego eklerować. My zowdy wiedzieli jak momy żyć, co momy robić na naszym kochanym Ślonsku, bo tego ucyli nos nasi starzyki, łojcowie i nasza tradycjo.

ŁODPUST U ŚWIIYNTEGO ANTONIKA

Janusz Wańczura

Luftu we kościele
wyncyj aniżeli ludzisków,
a dyc Antonik
się frasuje,
że tak mało
jus wierzy
we Jego opieka.

Przed kościołym wyncyj autów, aniżeli sztandów, ludzie
jakieś takie markotne i krziwo paczom...

Stoja tak i pacza
i jest mi festy żol,
że niy ma jus
takich łodpustow,
co jo pamiyntom...

We kościele niy szło wrazić palca,
a i na placu boło poľno ludzi.
Jak po Wielkiym wszyscy pociľli na te budy i sztandy.
Jak dugi boľ Richterski stow, tak sztand przy sztandzie, aże
do anlagów.
Boľy tam pierniki, makrony, szkloki i insze bombony
i maszkiety.
Chopy tam stoľy ze watom cukrowom i kanoldami,
a muzykanty ze gruby graľy fest.

Bajtla kusili, coby im mamulka abo łociet kupiyli jakoś pistola na pac patrony, abo zalckorki. Te modsze bajtla to mieli flinty na fropy. Dziołszki kupowali baliki na gumce, fyrtoki, luft balony, i insze gracki.

Tak ta ciżba szła ku tramwaju.

Tam boł dopiero Romel.

Stoły chań karasole, dzikie autka i huśtówki, na kerych szło się huścić na Ryndy – Rom.

Kożdo frelka kciała coby jom keryś mody synek zebroł na keciok i łobkryncił jom tom ketom.

Ale boło uciechy!

Na boku stoły szisbudy, kaj chłopcy szczylali z luftbiksy do papiyrzanych kwiotków, abo lizoków, coby dać swoim frelkom. Cołki Romel wonioł pieconym wusztym i rybom, i stoły becki ze kiszonymi łogorkami...

A we wieczór boła potańcówka na tancdili, grała muzyka, ludziska tańcowali i radowali się, że mogom być razem. Casym się poprali, dali se po pyskach, na drugi dziyń zaś razem szli na piwo.

Siedza tak na tyj ławce ze zawartymi łocami i boja się je łotworzić.

Tak se myśla, co tys te mode ludzie bydom mogli łopedzieć swoim dzieckom i wnukom.

– Bo co tu wspominać – telewizyjo, komputry, smartfony???

A kaj ta naszo ślonski tradycjo???

Aże sie boja pomyśleć...

MÓJ HEIMAT – CZYLI TRAGEDIO JEDNEGO ŚLONZOKA

Janusz Wańczura

Dziynkuja Wom Mamulko i Tatulku
żeście Mie sprowadzili na Tyn świat.
Naucyliście Mie miłości i radości z tego,
że jezech Slonzokiyem.

Naucyliście Mie tyj piyknyj godki,
dziynki Wom żech zrozumioł,
że my coś dło Polski znacyli,
że my som bogate.

Boł cas, że z naszego wongło i stali
budowała się cołko Polska.
Yno teroz się ło tym niy pamiynto.
Ślonzok zrobioł swoje, może łodyńść.

Jo pamiyntom inkszy Ślonsk.
Jak za bajtla lotali my
po placach miyndzy familokami,
jak my grali we fusbal, abo kepki.

Jescse dzisioj cuja Tyn smak
tyj sznity chleba z tustym,
co mi jom mamulka
ściepli ze łokna na plac.

Nikaj niy boło wolno godać
po naszymu, a wszyscy godali my w doma...
Teroz my som poczebne
yno do welowania na wybory –

Przyjyżdżajom te wszystkie łobieczwace,
A jak już jes po wszystkim
to my zaś som ta –
opcja niemiecko – co się niy licy.

Moja droga się pomału końcy,
Yno szkoda mi tyj naszymy Ziymi,
kieryj nauczyli mi pszoć
moja Mamulka i moj Łociec.

Zowdy godali, że tam dom twój,
kaj serce Twoje.
To pedzioł jakiś mondry cowiek
i mioł recht...

Niydugo tys póda pod trawnik,
ale się niy tropia,
bo tam bydom wszyscy moji
i bydzie chań mój downy Ślonsk,
Kerymu pszaja,
kery pamiyntom...

BYDZIE TAM MÓJ MAŁY HEIMAT

WYRÓŻNIENIE

za utwór napisany po śląsku

BAJKA ŁO TYM JAK CHOP SWOJI ZMIERZŁYJ BABIE POMOG

Anna Bula

Za starego piyrwy, a może i niy, żoł się Chop co miał fest pyskato i zmierzło Baba. Całe dnie mu ino fandzoloła nad uchym:

- weż idź po wongel, bo kołkastła pusto!
- wyłyż z bajtlym na dwor!
- idź do sklepu bo niy ma kapusty, a chca zrobić panszkraut!
- niy ciep tych zokow wele łożka!
- idź do roboty na drugo szychta, bo niy ma piniyndzy, a dziołcha niy mo kecki, a synkowi trza spodnioki, hołzyn-tregle i tresek kupić!....

I tak durś, a cinyngiym zatruwała mu życie, aż Chop niy wytrzymał i powiedział Ji:

– Ida w świat z tyj chałupy, bo tu ani spokoju, ani co zjeść, durś larmo i larmo już mi łep pynko i hercklekoty mom!

Jak powiedział, tak zrobił. Baba za nim rycła – jak łon tak może! Łona tu sama z tym wszystkim łostanie, co bydzie...

A Chop Ji na to – ida i przyda dopiyo wtedy jak znojda lykarstwo na zmierzłe baby – cobyś z heksy stała się zaś normalno i tako kiero do się przuć.

I poszoł...

Szoł, szoł i spotkoł na drodze Utopca, tyn na niego patrzy i się go pyto: te chopie coś taki markotny, trza Ci coś? Jo tam w stawie na dnie mom kupa roztomajtych bawitkow, bo to abo wtoś wciepnie, abo wtoś wleci do wody i same mu z kapsy wylecą... Godej co Ci trza?

A chop mu na to: Trza taki cudownyj mikstury na zmierzłe baby, bo z tom moją już szczimać niy umia...

Utopiec pomyśłoł, poszkroboł się po gowie i godo: ja jo tu mom prawie wszystko, ale pile na zmierzłe baby... hmmm patrz tego niy mom, ale moga Ci dać złoto rybka, łona niy spełnio życzeń, ale jest tako fajno, tak się świyci, że koždy wto na nia popatrzy zaroz się fest ubawi. I doł Chopu fajno miynionco się w słońcu złoto rybka.

Zmarkotnioł Chop, ale podziynkowoł za gyszynk, za szczere chęci i poszoł dali.

Idzie, idzie, patrzy, a zza krzoka wyglondo hazok, a że Chop nios krałza z tom rybką to z ciekawości wyłoz i pyto się: te Chopie co ty tam niesiesz w tyj krałzi? A chop: no jak to co? Złoto rybka niy widzisz. Hazok się fest uradowoł, bo myśłoł, że to ta co spełnio życzenia i godo do Chopa: Jerona to jo mom zyczenie... chciołbych dostać tako ołberiba, kiero się nie kończy, jo byda jom jeść, jeść a łona durś tako samo. Chop na to: te opanuj się!!, coś widza za dużo pierdół ześ się naczytoł, ta rybka umie..., ale ino pływać...

– Ło kurde a to szkoda – hazok na to, – to po co ty jom niesiesz?

– Dostoł zech jom od Utopca, bo wto na nia wejrzy tyn zaroz ponoć bydzie mieć ubaw... Wejrzy ino na nia... Hazok przykicoł bliżyj... patrzy, patrzy a tu rybka naroz pysk do szkła przybliżoła i zrobił ji się taki dzióbek jak tym

wszystkim dziółchom co robiom się selfi. Hazok jak to łobejrzoł to zaczął się kulać ze śmijchu. Chop patrzy na niego, a tyn leży i ryczy ze śmijchu, jak mu trocha przeszło godo: powiym Ci, downo zech się tak nie ubawioł, jakżech jom łobejrzoł z tymi wargami jak rant z nachtopa, to zaroz przypomniała mi się jedna tako co chciała być tako, jak te wszystkie celebrytki. Łona myślała, że jest fest gryfno, a wszyscy ino widzieli te jej wargi. Dziynkuja Ci, powiedz co Ci trza? I chop zaś to samo godo, ło tyj swoi Babie. Pomyśłoł Hazok i pado: no powiem Ci niy mom czegoś takiego, ale dom Ci słodko marchew, łona jest tako dobro, że wto jom skosztuje tymu zaroz wszystkie złości przyńdom.

Wzion Chop ta marchew, podziynkował i idzie dali szukać. Idzie, już zaczęło się robić ćma, a tu mu na droga wilk wyskakuje, zymbiska szczyry i rychtuje się coby go łyknąć. Chop cały w strachu no ale myśli: dyć tu chyba niy skończa żywota i ciach mu w pysk słodko marchew, wilk zatkań marchwiom zgupioł, a Chop mu ciach przed łoczy krałza z całusnom rybom, wilk patrzy i w śmijch, zaczął się kulać po trowie, marchew z tego wszystkiego zeżar, choć wilkowi to niy przystoi, pozbioł się i pado do Chopa: powiym Ci miołżeś pieronowe szczyńście, jeszcze nigdy żodyn mie tak niy ubawioł, niy boj się nic Ci niy zrobia. Chop aż stynknoł ze szczyńścia, a wilk na to: te ale co Ty sam robisz w tym lesie? Zamiast siedzieć w chałupie?

Chop ino na niego wejrzoł markotnie i zaczął mu łosprowiać cało historia ło swoi Babie. Wilk suchoł, suchoł, łebym kryncioł i w końcu pado: wiysz Ty co? jo tak myśla, że jakbyś Ji pokozoł jaki z Ciebie fest byk i pedzioł Ji jakżeś się mie niy boł, to łona by się trocha zastanowioła zanim zaś by na Ciebie ryczała. Musisz być Chop, a nie galoty!!!

Chop mu piykanie podziynkowół za rada i poszoł dali, a po drodze myśli: już mi trocha te nerwy przeszły, ciekawe, co tyż tam w doma robiom? Jak tam moje bajtle? Chyba po-mału czas iść nazod do dom. Trudno jakoś się przemyncza z tom Mojom Heksom.

Idzie, idzie, myśli, myśli i nawet się nie kapnoł, że wyłoz z lasu i z daleka widać tanksztela, i wielki geszeft. Jak ino to łobejrzoł poszoł w jego strona, bo pomyśłoł, że jak kupi Babie coś fajnego: jakoś szlajfa, szpanga do wosow, taśka, abo portmanyj to łona bydzie zadowolono i do mu w końcu spokoj. Włazi tam i rozglondo się co tyż fajnego idzie tu kupić, ale niy widzi żodnych fajnych rzeczy, za to cały geszeft zastawiony jest byfyjami a w nich pełno szuflodek, choćby w aptyce. Myśli chop: co to sam jest? I naroz wyłazi ze zadku sklepu dziołszka łoblecono w szykowne biołe szaty, we wosach mo pełno kwiotkow, z kierych idzie taki świeży duft, że czowiek czuje się choćby w niebie.

Dziołszka patrzy na niego i wito: witejcie dobry Czowieku co Wos tu do mie sprowadzo?

A Chop na to: witej Dziołszko, ale kaj jo jest? Myśłołzech, że to geszeft z gyszynkami i kupia sam do moi zmierzły Baby jakoś fajno rzecz, żeby Ji przeszło, ale tu nic niy mocie Frelko!

Na to Frelka: mylisz się, jo tu mom wszystko czego Ci trza. Chop patrzy na Nia i dali nic nie rozumie, na to łona:

- tu w tych byfyjach w każdyj szuflodce som pochowane medykamenty na wszystkie ludzkie choroby i słabości: na smutek, samotność, rozpacz, gniew, złość, zazdrość, lenistwo, itd.

- wejrzyj, tu wele Ciebie w szuflodce jest w biksie dobry humor, w krażi na lewo – szyroki uśmiech, na dole w tym

różowym bojtlu – pogoda ducha, tu w zilbrze, fajnie zapakowano leży wyrozumiałość, tu w tyj modrej skrzyni – przebaczenie, ale nojważniejszo rzecz leży na samym wyirchu w tym czerwonym boncloku – to miłość. No i co niy ma tu nic?

Wejrzała na niego z szyrokiem uśmiechem na fajnyj gymbusi. Chop stoł z łotwartmi szyroko łączami i jak niy ryknie radośnie: ło jerona dyc to wszystko co jo potrzebuja!! To wszystko moja Baba kiedyś downo tymu miała, ale kaś to straciła.

Frelka mu na to: no to możesz teraz Ji to nazod przynieś. Ale Chop naroz zmarkotnioł: dobra, dobra, ino czym jo Ci za to mom zapłacić, jak jo bajtlika z doma zapomnioł.

Frelka mu na to: Chopie, Chopie za takie skarby niy płaci się piniyndzmi!

– No to co jo Ci za to wszystko dom?... Już wiym, patrz mom tu tako niezwykło złoto rybka, kero nie spełnio żodnych gupich życzeń, ale za to dowo fest dużo radości.

I pokozoł Frelce rybka... jak ta jom łobejrzała, jak się nie zaczęła śmioć, bo ta ryba zaś – pysk do szkła i dowej robić „dzióbek”. Frelka pado: ale fajny gyszynk, żeś mi doł już niy pamientom kiedych dostała coś tak pociesznego. Uradowany Chop doł ji krałza z rybkom, a łona mu te wszystkie stracone przez Baba rzeczy.

Pożegnali się i Chop wyłoz ze geszeftu, przeszoł koncek drogi, łobrocioł się, bo chcioł Frelce pokiwać... ale za nim niy było żodnego sklepu... łotrzonśło chopa, bo przyszło mu na myśl, że to jako heksa boła, ale zaroz się klupnoł w łeb: co Ty Chopie gupi wymyśłosz, hekсы straszom i robiom wszystkim na łoztuda, a to musioł być Anioł łod Pon Bóczka.

Czym pryndzyj polecioł (choćby na mopliku, a lecioł prze-
ca piechty) do dom, a tam... jak ino wloz bajtle mu się na
kark uwiesioły, Baba cało zbeczano zaczęła go przeproszać,
że łona tako gupio boła, że na niego durś rycęła, że dopiero
jak się starcioł to do ni doszło, jaki łon jest fajny.

Chop suchoł i uszom własnym nie wierzył i pomyśloł: czo-
wiek dopiero wtedy zrozumie co kocho jak to prawie straci...

Teroz w doma u Chopą było richtich dobrze: łon zadbany,
Baba mu przoła, bajtle szczęśliwe... ale to co dostał łod wil-
ka: odwaga i łod Frelki: wszystkie dobre cechy miał scho-
wane, jakby niy dej Boże zaś coś jego babie zaś pizło do
gowy.

...a wszystkie te bery, bojki Wom łosprowiała Ania Bula,
Dziołcha z Bytkowa.

POEMAT O ŚLĄSKU

Beata Langa

Pod ziemią tą śląską
tętnią zakopane korytarze,
czasem trzeszczące stropy,
gdyby sen kilofy znużył.

Pod ziemią tą śląską
drzemią jeszcze te duchy,
udając się na spoczynek,
gdy szyb ich rozebrany.

Pod Ziemią Tą śląską
słysząc, jak i hałda dogasa,
choć na powierzchni piękna,
taki skarb ziemie chowały.

Pod ziemią tą śląską
ostatniego górnika z szychty,
to śmierć minęła za potrzebę,
to i oczy węgle czarne...

lecz nie bez serca...

Pod tą ziemią śląską
i ruszył w podróż ostatnią,
ten ów kilof do rąk wzięty,
szkielet szyby wskrzesić

DAWNYCH WSPOMNIEŃ CZAR

Oliwia Adamiec

...Mój dziadek od dziecka mieszkał w Michałkowicach. Gdy miał 9 lat został pólsierotą, jego mama zmarła na białaczkę i od tego momentu wychowywał go ojciec. Miał troje rodzeństwa, jedną siostrę i dwóch braci. Ojciec po wtórnie się ożenił.

Najpierw mieszkali w barakach, jak mówili wtedy wszyscy w Michałkowicach, że mieszkali na „Szłafałzach”. Baraki były pozostałością po jeńcach wojennych, którzy pracowali w kopalni w czasie wojny. Warunki życia były trudne, ale jak mówi mój dziadek – ludzie byli sobie życzliwi, dbali o innych, pomagali sobie nawzajem, było wesoło. Wszyscy wszystkich traktowali jak wielką rodzinę. Dzieci, które tam mieszkaly, cały dzień spędzały na podwórku i grały w piłkę, a latem chodziły na basen, który znajdował się na otwartym terenie za Szkołą Podstawową nr 4. Basen był miejscem znanym, obleganym przez wszystkich mieszkańców, gdy tylko pogoda dopisywała. Wtedy lato było prawdziwym latem, było ciepło i przyjemnie się spędzało czas na podwórku.

Mój dziadek chodził do Szkoły Podstawowej nr 12, która znajdowała się tam, gdzie obecnie jest usytuowany wielki parking przy Placu 11 Listopada. Jego szkoła sąsiadowała z inną: Szkołą Podstawową nr 15. Dzieliły ją od siebie ogródki, za szkołą zaś znajdowało się duże boisko szkolne.

Dzieci chętnie spędzały tam wolne chwile i grały w piłkę. Za ogrodzeniem była biała kapliczka Matki Boskiej, która stoi tam do dzisiaj. Mój dziadek lubił chodzić do szkoły, z przedmiotów najbardziej lubił wychowanie fizyczne, tak jak „każdy bajtel” oraz geografę. Wspomniał też swoją wychowawczynię panią Annę Łapaj – nauczycielkę geografii, która była dla wszystkich uczniów tak jak druga mama. Nie lubił matematyki i nauczyciela, który ich uczył tego przedmiotu. Po lekcjach, jeśli było ciepło grali z kolegami z różnych klas w piłkę, a gdy pogoda nie sprzyjała grali w szkole w karty. Jak wspomina dziadek, wychodził rano do szkoły, a wracał jak „było już ćma”. Spędzał dużo czasu w szkole, szczególnie wtedy, gdy mama zachorowała. Zimą z kolegami i koleżankami chodził „na rudybana na sanki, zjeżdżali na papyndecku abo na butach”.

Gdy dziadek miał 19 lat przeprowadzili się do domu przy ulicy M. Dąbrowskiej, gdzie mieszkał dosyć długo, potem mieszkali na Dąbrówce Wielkiej, a obecnie na ulicy Śląskiej. Dziadek pracował w oddziałach kolejowych na kopalni Michał, potem w kopalni Siemianowice. Przepracował 40 lat i 6 miesięcy zanim poszedł na emeryturę. Pracował z różnymi ludźmi. Wspomina, że na Nowym Świecie niektórzy ludzie nigdy nie pracowali, ale te „chachary” – jak ich nazywa – nikomu nie robiły krzywdy, było bezpiecznie, nikt nie bał się chodzić „po nocy”, nie tak, jak dzisiaj...

Dziadek z rozrzewnieniem wspomina, jak dawniej wyglądały Michałkowice, że za barakami nic nie było – tylko pola, wszędzie zieleń, nie było też Hali Zbornej, a dzieci z Michałkowic chodziły do „Sokolni” na gimnastykę.

Pisane na podstawie wywiadu z dziadkiem Józefem Wójcikiem, lat 70, zamieszkającym w Siemianowicach Śl.

STANISŁAW MASTALERZ – HISTORIA (NIE)ZWYKŁA

Zuzanna Bielewicz

Wybiła godzina piętnasta, kiedy dotarłam do kawiarni. Lokal był niewielki, w ścianach były widoczne pęknięcia przykryte obrazami, a na podłodze kłębiły się kawałki pyłu wnoszonego z ulicy przez klientów. Mimo to panowała tutaj spokojna i przyjazna atmosfera, ze starego radia grała muzyka co jakiś czas przerywana piszczaniem tramwajów. Ludzie siedzieli przy większych i mniejszych drewnianych stołach popijając ciepłe napoje z zarysowanych filiżanek.

Poprawiłam przydługi płaszcz i przyciskając skórzaną teczkę do piersi precisiłam się między wysłużonymi krzesłami. Dotarłam do wolnego stolika w rogu, tuż nad nim wisiała migająca żarówka. Wysoki regał tłumił większość dźwięków, więc stwierdziłam, że będzie to idealne miejsce na wywiad. Wyciągnęłam z kieszeni tanie pióro i usiadłam czekając na mojego gościa.

W gazecie pracę zaczęłam zeszłej wiosny, po wojnie brakowało tam dziennikarzy, więc przyjęli mnie bez problemów. Z początku zajmowałam się pisanem artykułów o odbudowie kraju i regionu. Redaktor naczelny chcąc tchnąć więcej życia i patriotyzmu w gazetę polecił mi przeprowadzić wywiad z powstańcem śląskim. Zostałam więc umówiona

na mój pierwszy prawdziwy wywiad, który miałam przeprowadzić z Stanisławem Mastalerzem.

Z tego co wiedziałam, brał udział pierwszej wojnie światowej, w powstaniach śląskich i drugiej wojnie światowej, aktualnie należał do rezerwy Ludowego Wojska Polskiego w stopniu podporucznika, choć ludzie twierdzili, że w czasie wojny awansował na kapitana.

W radiu rozległ się głos Barbary Barskiej, a ja nerwowo stukalam palcami o blat. Po kilku minutach nad drzwiami wejściowymi zadzwonił dzwonek i do środka wszedł mężczyzna. Był około pięćdziesiątki, miał na sobie bluzę z munduru. Przystanął i rozejrzał się. Wysunęłam głowę i kiwnęłam w stronę mężczyzny.

Może z wyglądu nie przypominałam dziennikarki, ale miałam nadzieję, że mężczyzna weźmie mnie na poważnie, położyłam pióro na stole i wyrównałam stos kartek.

– Dzień dobry – wstałam i uściśnęłam mu dłoń. – Joanna Nowak, dziękuję że zgodził się pan na wywiad.

– Dzień dobry, bardzo mi miło – uśmiechnął się Mastalerz.

Usiedliśmy przy stole i zamówiliśmy u kelnerki kawę.

– Więc, tak, spotkaliśmy się tutaj, żeby przeprowadzić wywiad o pana życiu – przekartkowałam papiery nerwowo.

– Naturalnie, niech się pani nie stresuje, byłem kiedyś dziennikarzem – odrzekł Stanisław Mastalerz.

– O naprawdę? Dobrze... A więc zacznijmy od początku. Ten wywiad ma swobodny charakter, chcemy pokazać życie Ślązaka, aktywnie angażującego się w życie regionu a także udział w licznych walkach. Chcemy pokazać przykład

patriotyzmu, a także rozpowszechnić historię ważną dla naszego regionu. Czy zgadza się pan na to?

– Oczywiście, to będzie dla mnie przyjemność i zaszczyt – mężczyzna poprawił się na krześle.

– Dobrze, a więc zaczynajmy – powiedziałam chwilę później gdy kelnerka przyniosła nam kawę w zdobionych kwiatami filiżankach.

Otworzyłam pióro i przyłożyłam je do papieru.

– Co pan pamięta ze swojego dzieciństwa? – zapytałam.

– Och wiele, moje dzieciństwo może nie było idealne, ale czuję, że dość na mnie wpłynęło. Urodziłem się w Szarleju w roku 1895, o matko, ile to już lat minęło. Wywodzę się z wielodzietnej, robotniczej rodziny, mój ojciec był cieślą górniczym i od zawsze rodzice wpajali mi umiłowanie do języka polskiego i ojczystej kultury, a także szacunek do pracy. Od najmłodszych lat pracowałem w pobliskich kopalniach. Zrezygnowałem ze szkoły średniej, a mimo to byłem dość czytany, jak mówili ludzie. Jako nastolatek brałem udział w wielu polskich organizacjach, na przykład TG „Sokół”. Jakoś rok przed rozpoczęciem pierwszej wojny światowej wziąłem udział w strajku górników i wyrzucili mnie z kopalni – mówił Mastalerz.

Kiwałam głową zapisując każde jego słowo.

– A brał pan udział w pierwszej wojnie światowej? – zadałam kolejne pytanie.

– Tak, miałem wtedy coś około dziewiętnastu lat, zostałem powołany do Armii Niemieckiej i trafiłem na zachodni front. Nie wspominam tych czasów zbyt dobrze. Zostałem ciężko ranny, w sumie to blizny mam do dziś – wskazał

na swoje ramię. – Mimo to i tak Niemcy przydzielili mnie do pracy w fabryce amunicji. Po skończonej wojnie zająłem się pracą w polskich organizacjach dążących do odzyskania niepodległości. Dobrze wspominam pracę w Związkach Wojackich organizowanych przez Józefa Dreyze, oraz Straży obywatelskiej dla Górnego Śląska. Byłem również jednym z organizatorów innej organizacji a dokładnie Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, jeśli dobrze pamiętam nazwę.

– Więc był pan czynnym patriotą dążącym do niepodległości – podsumowałam. – Brał pan udział w powstaniach śląskich? – zapytałam choć znałam odpowiedź.

– Po części tak. Znaczy, w pierwszym nie brałem udziału, ponieważ nie dotarło do okolic Gliwic, gdzie stacjonowałem. Za to pełniłem funkcje łącznika i kuriera, informowałem również o sytuacjach społecznych i wojskowych właśnie na tamtych terenach – Stanisław Mastalerz podrapał się po brodzie. – Kiedy powstanie upadło musieliśmy się ewakuować i ukrywać. Schroniłem się w Sosnowcu tak jak wielu innych powstańców. Taki pechowy czas może się wydawać, jednak to właśnie tam poznałem moją przyszłą żonę Franciszkę, z którą wziąłem ślub w 1919 roku.

Mastalerz sięgnął po kawę i upił łyk, a ja szybko notowałam.

– A co z drugim powstaniem?

– Tu już brałem udział. W trakcie przygotowań mieliśmy już dużo ochotników i ludzi czekających na rozkazy, więc zaczęliśmy szukać dla nich broni. Z tym było dość kruch. Co prawda każdy coś przyniósł, jakiś karabin z wojny na przykład. Górnicy regularnie przynosili materiały wybuchowe z kopalni, z których produkowali granaty. Wraz

z moimi ziomkami zorganizowałem więc przejęcie broni z niemieckich placówek. Z początku ukrywaliśmy broń w piwnicy przyjaciela, jednak, żeby go nie narażać postanowiliśmy je stamtąd zabrać. Włożyliśmy to wszystko do drewnianych skrzyń, a skrzynie na wózek, na górę nasypaliśmy trochę kartofli i słomy. I tak wszystko przetransportowaliśmy, cudem się udało. Takich wypraw było więcej w powiecie gliwickim, raz wykradziono nawet samochód osobowy – mówił weteran powstania popijając kawę. – Dostałem jakieś stanowiska w organizacjach, do których uczęszczałem, jednak moje pierwsze fizyczne starcie odbyło się, kiedy broniliśmy Hotelu Lomnitz w Bytomiu i Komisariatu Plebiscytowego znajdującego się w nim. Niemcy próbowali podpalać gmach, co było wielkim utrudnieniem, bośmy zaczęli się w środku zwyczajnie dusić. Jednak nie poddawaliśmy się.

– I to wszystko działo się jeszcze przed drugim powstaniem? – dopytałem, choć raczej nie powinnam przerywać.

– Ach tak – odpowiedział spokojnie Mastalerz. – Wybuch samego powstania był jedynie kwestią czasu. Przyglądałem się dokładnie działaniom Niemców, poleciłem wzmocnić łączność i podwyższyć pogotowie bojowe. Kiedy wybuchło drugie powstanie, objęło ono prawie wszystkie tereny, które wyznaczyło dowództwo. Powstanie to poszło lepiej, jednak i tak upadło. Po nim zostałem komendantem CWF i moim głównym zadaniem była ochrona spotkań i wieców przed niemieckimi awanturnikami, co nie szło mi tak źle.

Kiwnęłam głową jak w transie. Za ścianą zadudnił tramwaj.

– A co z trzecim powstaniem? – dopytałem prędko.

– Cóż, dla mnie było awansem, zostałem dowódcą pułku

gliwickiego, gdzie walczyli głównie mieszkańcy powiatu gliwickiego. W ramach dywersji, osłabialiśmy infrastrukturę kolejową. Nasz pułk kierował się w stronę Łabęd, co było kluczowe, ponieważ znajdował się tam ważny dla komunikacji kolejowej węzeł. W owych potyczkach zginęło wielu Niemców, a około 1004 trafiło do niewoli. Szykowaliśmy się do zajęcia samych Gliwic, lecz dostaliśmy rozkaz, by zaprzestać przygotowań z powodu interwencji aliantów. Podczas ostatniego powstania walczyłem jeszcze o Kędzierzyn Koźle oraz pod Górą św. Anny. Po likwidacji powstania trafiłem do Zamościa i tak skończyła się nasza misja wojskowa o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Armia Polska symbolicznie wkroczyła na Górny Śląsk. Do 1924 roku byłem oficerem zawodowym Wojska Polskiego, przeszedłem jednak do rezerwy.

– Co pan robił po odejściu z wojska?

– Pracowałem właśnie jako dziennikarz w wielu gazetach i ukształtowałem sobie poglądy polityczne. Przez co odsunąłem się od Wojciecha Korfanteo, którego dotychczas podziwiałem. Uważałem, że organizacje powstańców powinny wspierać politycznie nowe władze. Kilka lat wcześniej zostałem przez Korfanteo oddelegowany do aresztowania swoich obecnych przełożonych, których gorliwie wspierałem jako redaktor. Mimo to odnalazłem się w gronie Sanacji Górnego Śląska, tak jak zostałem Sekretarzem Generalnym Zarządu Głównego Związku Powstańców Śląskich. W tamtym czasie głównie wspierałem uchodźców politycznych, którzy uciekali z Republiki Weimarskiej. Szczególną uwagę poświęcałem uciekinierom z powiatu gliwickiego i toszckiego, obie te gminy w których działałem zostały bowiem w granicach Rzeszy – mężczyzna westchnął i zamyślił się na chwilę. – Działałem też tutaj w Katowicach i jeszcze

pracowałem w straży pożarnej w Chorzowie, choć pełniłem tam bardziej funkcje organizacyjne.

– Więc tak minął okres międzywojenny – mruknęłam z podziwem zapisując kolejne zdania.

– A czy brał pan udział w drugiej wojnie światowej?

– Niestety tak. Walczyłem z bronią w ręku w 23 Dywizji Piechoty. Brałem udział w krwawej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Po kapitulacji 20 września przedostałem się do Rumunii, później do Francji, do Paryża, gdzie formował się nowy polski rząd. A przez następne siedem lat byłem żołnierzem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Podczas tej okrutnej wojny utkwiał mi w pamięci luty i marzec 1941 roku. Byłem wtedy organizatorem upamiętnienia dwudziestolecia plebiscytu na Górnym Śląsku. Część relacji tegoż wydarzenia była transmitowana nawet przez polskie sekcje BBC. Podczas wojny przebywałem również na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii, był to dość spokojny okres, a ja mimo trwającej wojny postanowiłem podnosić swoje kompetencje zawodowe. Brałem udział w kursie ekonomicznym i nauczyłem się niezwykle przydatnego języka angielskiego – Mastalerz odłożył pustą filiżankę na stół.

Zapisując ostatnie słowa na kartkę wyskoczył mi wielki kleks. Westchnęłam i sięgnęłam po moją kawę, która okazała się już zimna. Chyba trochę za bardzo wciągnęłam się w życie powstańca. Sięgnęłam po czystą kartkę i kiwnęłam głową by męczyzna kontynuował.

– We wrześniu 1943 roku jeszcze w Wielkiej Brytanii, uczęszczałem do grupy założycielskiej Związku Ślązaków. Miała ona na celu zrzeszenie Ślązaków oraz dążenie do przywrócenia ziemi Górnego Śląska do Polski. Tuż po woj-

nie jako oficer w stopniu kapitana zostałem przeniesiony do Francji, działałem tam jako oficer łącznikowy przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Sprzymierzonych w Ludwigsburgu. Organizowałem też pomoc dla Polaków, którzy znaleźli się w obozach repatriacyjnych na terenie powojennych Niemiec. Do Polski powróciłem w kwietniu 1947 roku, mimo że jak wspominałem awansowałem na kapitana, nowe władze postanowiły przenieść mnie do rezerwy Ludowego Wojska Polskiego w stopniu porucznika. Postanowiłem jednak nadal angażować się w życie społeczne, zapisałem się do Związku Weteranów Powstań Śląskich oraz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. No i staram się promować sport w tym rejonie. I w sumie tutaj kończy się moja historia – zakończył swoją opowieść Stanisław Mastalerz.

Postawiłam kropkę na końcu zdania, która zamieniła się w kleksa, ale nie zwróciłam na to większej uwagi.

– Naprawdę dziękuję panu za opowiedzenie o pana życiu. Jestem pod wielkim wrażeniem, że ktoś taki udziela mi wywiadu – uśmiechnęłam się.

– Niech mi pani nie schlebia – Mastalerz machnął ręką.

– Jeśli pan jeszcze pozwoli – spojrzałam na zegar na ścianie – to zadam panu jeszcze kilka pytań.

– Oczywiście, to pani wywiad – odpowiedział.

– Wiec tak, co pan czuje po tych wszystkich latach zmagania, kiedy Góry Śląsk nareszcie należy do niepodległej Polski?

– Hm, z pewnością dumę. Jestem bardzo rad z tego, że starania nie tylko moje, ale też wszystkich powstańców i Ślązaków nie poszły na marne, że nareszcie możemy być tymi

jakimi się czujemy i żyć w tym państwie, w którym chcemy.

– Czy nazwałby się pan bohaterem? – zapytałam.

– Och, ciężkie pytanie. Wydaje mi się, że nie mogę na nie odpowiedzieć. Mam nadzieję, że cegielka jaką dołożyłem do historii Śląska nie zostanie zapomniana, tak samo jak cegielki, które dołożyło wielu innych Ślązaków, również tych poległych w czasie wojen i powstań. Bohaterem można nazwać wszystkich, którzy walczyli o nasz region – odpowiedział Stanisław Mastalerz.

– Piękne, a co w ogóle skłoniło pana do włączenia się w walki o przynależność Śląska do Polski?

– Wydaje mi się, że wiele czynników: poczucie polskości jakie od dziecka nosiłem w sobie, moje poczucie sprawiedliwości i chęć dążenia do celu mimo wszystko. Zależy mi na tym regionie jak i całej jego społeczności, dlatego właśnie zdecydowałem się na dalszy udział w życiu społecznym i w różnych organizacjach – mówił powstaniec.

Za ścianą znów usłyszeliśmy przejeżdżający tramwaj, moja filiżanka zatrzęsała się tak jak moje ręce, kiedy pisałam ostatnie zdania.

– Hm, wydaje mi się, że doszliśmy do końca wywiadu. Naprawdę chciałabym panu podziękować za udział w imieniu całej gazety jak i też swoim – uścisnęłam mu dłoń. – Naprawdę wzruszyła mnie pana historia i dziękuję panu.

Stanisław Mastalerz tylko się uśmiechnął i skinął głową.

Poczułam sympatię i podziw dla jego wielkiego uspołecznienia i oddaniu się bez reszty pracy patriotycznej, a także samej jego osoby.

Minęło niespełna 10 lat od kiedy weteran wojenny i śląski powstaniec udzielił mi wywiadu.

Utrzymywałam swoją posadę jako dziennikarka w jednej z katowickich gazet, kiedy na początku listopada 1959 roku dotarła do mnie informacja o śmierci Stanisława Mastale-rza spowodowanej chorobą nowotworową.

W czarnym płaszczu, w którym dekadę temu prowadziłam z nim wywiad pojawiłam się na jego pogrzebie na cmentarzu wojskowym w Katowicach przy ulicy Meteorologów.

Opowiadanie napisałam ku pamięci Stanisława Mastale-rza (1895-1959) – górnika, działacza społecznego, powstańca śląskiego, żołnierza, oficera WP.

KARTKA Z RODZINNEGO PAMIĘTNIKA

Dawid Blot

Wojciech Korfanty jest postacią znaną w moim rodzinnym mieście Siemianowicach Śląskich. To nie tylko dyktator III Powstania Śląskiego w 1921 roku, ale także wielki Polak, patriota i Ślązak. Ilekroć przechodzę ulicą Śląską „patrzy na mnie” z muralu upamiętniającego 100 rocznicę wybuchu trzech powstań śląskich. Jest mi dosyć bliski, bo moja mama jest spokrewniona z tym wybitnym Ślązakiem, siemianowiczanie, na dodatek moim krewnym... Wcześniej mało o nim wiedziałem, nie interesowałem się tym tematem. Aż do dzisiaj...

Postanowiłem o nim napisać korzystając ze wspomnień mojej mamy. Moja mama tak dzisiaj opowiada o rodzinie Wojciecha Korfanteo i łączących ich więzach rodzinnych .

...Moja mama jest krewną Wojciecha Korfanteo, prawidłowo Alberta urodzonego 20 kwietnia 1873 roku na Sadzawkach. Urodził się w tym samym domu, co moja prababcia, babcia i moja mama. Wojciech był kuzynem mojej prababci ze strony jego mamy. Jako dzieci chodzili do jednej szkoły powszechnej nr 8 na Sadzawkach, to dzisiejsza szkoła podstawowa nr 11. Po ukończeniu szkoły powszechnej Wojciech Korfanty podjął naukę w gimnazjum w Katowicach. Wojciech miał dwie siostry i dwóch braci. Wszyscy razem często chodzili na zabawy taneczne (tzw. potań-

cówki) organizowane w Siemianowicach. Tam też poznał dziewczynę, która później została jego żoną. Jego przyszła żona pracowała w sklepie w Bytomiu. I tu się niestety kończy nasza dobra rodzinna historia. Babcia mojej mamy poznała niemieckiego żołnierza (miłość nie wybiera...), miała z nim czwórkę dzieci, a wtedy cała rodzina się ich wyrzekła i już później nie utrzymywali żadnych relacji. Tak urwały się nasze kontakty rodzinne. Do roku 1970 rodzina mojej mamy mieszkała na Sadzawkach, w domu, w którym się urodził Wojciech Korfanty i moja prababcia oraz jej dzieci. Tam też widnieje tablica pamiątkowa poświęcona wielkiemu Ślązakowi. I taka jest historia mojej rodziny i jej związków z rodziną Wojciecha Korfantego...

Pamięć człowieka jest zawodna, nie wszystkie momenty z dawnego życia już się dobrze pamięta, wiele wspomnień mojej prababci i babci już uleciało z pamięci mojej mamy. Ale jak mówi moja mama, czasy powojenne były różne, nie zawsze sprzyjały wspominaniu lat międzywojennych, wojennych i początków niepodległej Ojczyzny, więc należy gromadzić różne dokumenty, zapiski, tak aby nie zostały nigdy zapomniane. Tylko można żałować, że relacje rodzinne na początku tak bliskie, uległy szybko zatarciu...

23 września 2025 roku

PO DWU STRONACH BARYKADY

Łukasz Cieślik

Dla mojego pradziadka, który uczestniczył w powstaniu śląskim po polskiej stronie jako kolejarz.

PROLOG

20 marca 1921 roku (niedziela)

Katowice (Kattowitz)

Plebiscyt, który miał zdecydować o losach Śląska odbywał się bardzo spokojnie. Frekwencja dopisała, bo prawie 100% osób oddało głos za jedną z dwóch opcji.

Prawo głosu miały osoby, które ukończyły 20 rok życia, mieszkały tymczasowo, czy nawet niemieccy mieszkańcy, którzy przez decyzję władz niemieckich zostali wysiedleni w 1920 roku.

W rodzinie Żurków wszyscy domownicy mogli oddać głos w plebiscycie.

Rodzina składała się ze szczęśliwego małżeństwa Anny i Henryka oraz dwóch owoców ich miłości Alojzego i Antoniego, którzy byli bliźniakami.

Ale jak wiadomo, z rodziną najlepiej się wychodzi na obrazku, bo od wielu lat pomiędzy braćmi pojawił się konflikt, spowodowany tym, że Antoni popierał Polskę, a pozostała część rodziny była zdeklarowanymi Niemcami.

Z tego powodu dochodziło do licznych napięć, które skutkowały bójkami na linii: "Antoni-Alojzy".

Atmosfera w tym dniu również była pod psem, bo przed wyjściem doszło do kolejnej wymiany uprzejmości, którą musiała zatrzymać matka, bo do Alojzego dołączył ojciec i razem z nim chcieli przywalić Antoniemu za to, że przez cały poranek prowokował rodzinę do rozmów o charakterze politycznym.

W trakcie niedzielnej mszy w kościele Marienkirche ksiądz wikariusz namawiał swoich wiernych, aby w plebiscycie zagłosowali nie rozumem, a sercem, bo tak naprawdę to każdy z nas czuje przywiązanie do innego narodu i wie, co jest dla niego najlepsze.

Był to piękny kościół w stylu neogotyckim zbudowany na planie krzyża łacińskiego.

Ale dla Ślązaków nie był ważny teraz kościół tylko to, co się stanie ze Śląskiem, bo jego historia jest nazbyt skomplikowana.

Przez wiele wieków Śląsk był pod kontrolą różnych państw najpierw Czech (np. w czasach panowania dynastii Piastów), później przez rozbiory Polski trafił pod skrzydła Prus, aż doszło do takiego momentu, w którym Traktat Wersalski z 28 czerwca 1919 roku powiedział jasno i wyraźnie, że tereny Śląska, Warmii i Mazur miały zostać podane plebiscytowi, który zadecyduje, do jakiego państwa miał należeć ten teren.

Oczywiście Traktat Wersalski zakończył I Wojnę Światową, która trwała cztery lata 1914-1918.

Na Górnym Śląsku nie było spokojnie, bo w 1919 roku wybuchło pierwsze powstanie śląskie, a rok później drugie powstanie śląskie.

Śląsk miał już dość walk, a dużo osób nie popierało zmian, które chcieli wprowadzić zdeklarowani Polacy.

To ten dzień miał zdecydować, do kogo miał należeć Górny Śląsk, bo Warmia i Mazury od roku należały do Niemiec, o czym zadecydował plebiscyt z 11 lipca 1920 roku.

Na Richard Holtzestraße, Bahnhofstraße i innych pobliskich ulicach było pełno żołnierzy alianckich, francuskich i włoskich którzy razem z Międzysojuszniczą Komisją Rządową i Komisją Plebiscytową pilnowali porządku na ulicach w wielu śląskich miastach, więc w Katowicach widok takich osób nie dziwił absolutnie nikogo.

Nawet pojawiły się czołgi, które pilnowały i nadzorowały ludzi kierujących się w stronę lokali.

Żurkowie szli razem, nie oddalając się w ogóle na chwilę, gdyż obawiano się interwencji wojsk.

Niespodziewanie odezwał się Alojz:

– Niy wierzã nawet wojsko musiało przijechać coby bõł pokõj – przerwał, bo matka zmierzyła go wzrokiem takim jakby miała go zabić jednym uderzeniem i zdawkowo odparła:

– Ucisz sie karlusie.

– Ale mamõ.

– Bez dyskusyje.

Wtrącił się swoim żywiołowym głosem ojciec:

– Niy rozumiesz co gõdõ matka?

Alojz zaprzestał i odwrócił się w kierunku Antoniego, który niemrawo szedł spokojnym krokiem ze spuszczoną głową, co sprowokowało tego pierwszego do konfrontacji:

– A ty sie w cołkości sie ôdzywôsz ôszydniku nôrodu!

Antoni nie odpowiadał, co sprawiało wrażenie, że Alojz mówił do słupa soli, ale niestety atak trwał w najlepsze:

– Jak Niyncy przegrajôm to ciebie zabijã pierono!

Antoni nie wytrzymał i chwycił brata za kark i przewrócił na ziemię, matka i ojciec widząc to zaczęli się wydzierać:

– Antoni ôstów go w pokoju! – przerwali, bo przybiegł do nich żołnierz aliancki, który bardzo dobrze znał polszczyznę i zapytał:

– Wszystko dobrze?

– Tak oczywiście, wie pan posprzeczali się o kobietę – odparła matka:

– A rozumiem – stwierdził żołnierz i odszedł, jak gdyby nigdy nic.

Matka powiedziała:

– Majoryntne karlusy a bijecie sie jak bajtle, dôwôm wôm ôstatnie ôstrzeżynie jeżli to zaś sie powtôrzi to fater wôs zbije pasym atoli nojwyncyj dostanie Antoni, bo nic ci Alojz niy pedzio!

– Przecã to niy moja wina! – odparł Antoni:

– Bez dyskusyje! – zakończyła matka i weszła jako pierwsza do lokalu, który mieścił w budynku Teatru Śląskiego, czyli na ulicy Friedrichstraße.

ROZDZIAŁ 1

2 dni później, 23 marca 1921 (wtorek)

Katowice (Kattowitz)

Ich mieszkanie mieściło się w kamienicy, która była w pobliżu Teatru Śląskiego na terenie miasta Kattowitz, czyli na ulicy Friedrichstraße.

Mieszkanie nie było luksusem tych czasów, ale każdy z domowników o dziwo miał swoje miejsce tylko dla siebie.

Nawet ten fakt nie zmieniał tego, jakie napięcie występowało w tej rodzinie, które było spowodowane niedawnym plebiscytem i najgorsze w tej sytuacji było czekanie na rezultat.

A co, jeśli okaże się, że jest po równe 50% dla obydwóch opcji? Powtórzenie głosowań? Liczenie do skutku? Kompromis? Tego nikt nie wiedział i nie mógł przewidzieć co zrobić w takiej dziwacznej sytuacji.

Ojciec poszedł do zaufanego kiosku niemieckiego o ciekawej nazwie „Hoffnung” który mieścił się na Schlosstraße.

Na latarniach nadal zostały plakaty przygotowywane przez Polski Komisariat Plebiscytowy, jak i Niemiecki Komisariat Plebiscytowy.

Plakatem polskim był ten o treści: „TYLKO ZA POLSKĄ LUD ŚLĄSKI ROZERWIE OKOWY NIEWOLI”, w tle był widoczny mężczyzna, który wznosi łańcuch do góry, a za nim dumnie powiewa flagi Polski.

Niemiecki plakat był naprzeciwko polskiego i głosił takie hasło: „HEFT IHM! GRENZSPENDE FÜR OBERSCHLEISEN” (“Pomóżcie mu! Dar graniczny dla Górnego Śląska”).

Postacią na tym plakacie jest mężczyzna, górnik z zawodu, który kilofem uderza w orła białego.

W kiosku poprosił o niemiecką gazetę Kattowizer Zeitung, która mówiła o – Oficjalnym potwierdzeniu zwycięstwa Niemiec w głosowaniu („Offiziell Bestätigung des Sieges Deutschlands in der Abstimmung”).

Kioskarz wywodzący się z głębi Niemiec odparł:

– Und sind Sie zufrieden?

Odparł podekscytowany Henryk z wielkim przejęciem:

– Fragen Sie noch?– odparł i zapłacił 30 fenigami za gazetę i odszedł z kiosku kierując się w stronę mieszkania.

Powiedział sobie w duchu: Wszystko wraca do normy.

ROZDZIAŁ 2

W tym samym czasie
Katowice (Kattowitz)

Antoni od wczorajszego wieczora nie wrócił do domu, ponieważ został prawie pobity za to, że pokazał wydanie polskiej gazety Kocynder, która pisała o zwycięstwie Polaków w plebiscycie.

Błąkał się bez celu, ale całą noc przespał na Wilhelmplatz byle jak najdalej od rodziców, lecz ta noc nie była tak mocno spokojna, bo wydawało mu się, że ktoś go śledzi lub widzi, więc co jakiś czas się budził.

Na szczęście nikt z policji polsko-niemieckiej go nie skasował, więc mógł się czuć bezkarnie.

Nie chciał wracać do swojego mieszkania, bo obawiał się reakcji rodziny na jego wielką ucieczkę. Oprócz tego uważał, że Polacy wygrali plebiscyt, o czym powiedział Wojciech Korfanty, a o te tematy miał kosę z rodziną.

Korfanty, aby zachęcić Polaków do walki powiedział, że tak naprawdę to oni wygrali plebiscyt, mówiąc o gminach, które oddały swoje głosy w większości na polską opcję.

Mało tego, według Traktatu Wersalskiego głosy powinny być liczone tylko z gmin, w których Polacy głosowali.

Sytuacja była bardzo ciekawa, zważywszy na to, że obie opcje, jak widać, mówiły kompletnie co innego. Na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa? A kto może jako pierwszy odpuści w tym wyścigu? Albo czas na jakiś impas, który pozwoli dojść do zgody tym krajom?

Antoni miał nadzieję, że słowa Korfantego były prawdziwe i na pewno zostaną potwierdzone przez osoby do tego uprawnione.

Teraz podjął decyzję, że ucieknie do Bytomia, w którym znał taką jedną dziewczynę, z którą był w związku, ale z powodu jej polskiego pochodzenia natychmiast z nią zerwał, bo rodzice zaszantażowali go, że wyrzucą go z domu, a ta niewiasta nie miała aż tylu pieniędzy, aby przyjąć Antoniego do domu.

Nie wiedział jednego, że przed nim i całym Śląskiem stało wielkie wyzwanie, o którym mało kto wiedział, lecz każdy czuł w powietrzu...

ROZDZIAŁ 3

Kamienica przy Friedrichstraße

Ojciec pełen dumy pokazywał matce, która była w niezbyt dobrym nastroju gazetę, która przedstawiała wynik plebiscytu.

Wiedzano, że na Niemców zagłosowało 59,4 procent głosujących, natomiast 40,3 procent wybrało opcję polską (w liczbach Niemcy – 707 605 głosów, Polska – 479 359 głosów).

Ale dlaczego matka była w złym nastroju?

Przecież Niemcy wygrali plebiscyt, co powinno ją ucieszyć, lecz w tym wypadku to nie chodziło o politykę, tylko o Antoniego, który jeszcze nie wrócił po wczorajszej awanturze spowodowanej domniemanym zwycięstwem Polaków, o którym w gazecie Kocynder powiedział niejaki Wojciech Korfanty.

Dochodziły godziny wieczorne, a Antoniego nadal nie było, co bardzo niepokoiło Annę, która była bardzo niemrawa podczas wieczornej kolacji.

Dopiero teraz Henryk zauważył dziwną niedyspozycję Anny i odparł:

– Co się stało? – zapytał.

– Dziwuje cie to, twój syna durch niy ma? – odparła Anna.

– No tak ino po co sie tak nerwować na zicher wrōci.

– Ty nic niy rozumiesz – zaczęła lamentować, więc Henryk podszedł do żony i utulił ją w swoich ramionach.

Niespodziewanie odezwał się Alojzy:

– Wyecie co a mie cieszy iże niy ma tego obsranego Polaczka! – co wzbudziło wielkie wrażenie na rodzicach,

a w szczególności na ojcu, który nie spodziewał aż takiej nienawistnej postawy syna. Owszem wiedział, jaki jest jego syn i sam popierał poglądy dziecka, lecz tutaj zaświeciła mu się jakaś czerwona lampka.

Wiadomo, że karał Antoniego chłostą za jego światopogląd, lecz w tym momencie coś pękło, wydawało mu się, że przed nim stoi potwór, który jest zdolny do wszystkiego, a na dodatek ton, którym wypowiedział tamto zdanie był na wskroś jakiś zimny i lodowaty.

– Jak śmiesz gōdać take słowa do brata! – powiedział Henryk po namyśle.

– Zabiōł bych tego gnoja! – odparł Alojzy zdziwiony reakcją ojca.

– Co ty gōdōsz?

– Ōd dycki mie spiyraliście tōż dziwuje mie waszō postawa.

– Ale niy bydā przistōwoł sie na zabicie mojigo syna.

– Zobōczymy fto bydzie mioł racyjō – wyciągnął nagle broń modelu Mauser wzór 98 kalibru 7,92 mm wycelował w stronę rodziców i dodał – Abo jō abo ôn!

Matka cała zafrasowana tą sytuacją spróbowała coś powiedzieć, ale nie umiała wydusić ani jednego słowa.

Alojzy, będąc cały rozdygotany ze strachu skierował się do wyjścia i uciekł w stronę miasta, więc na marne były wołania matki: „Dziecko wróć”.

Od tamtego momentu zaczynała się najważniejsza rozgrywka pomiędzy dwoma braćmi...

ROZDZIAŁ 4

Ponad miesiąc później, 1 maja 1921(niedziela)

Bytom (Beuthen)

Od tamtych wydarzeń minęło sporo czasu, ale na Śląsku nadal było gorąco, gdyż wiadano, że niedługo dojdzie do kolejnego powstania śląskiego.

Korfanty powstanie przygotowywał od marca, ponieważ wiedział, że wyniki podziału Śląska mogą nie być satysfakcjonujące dla Polaków.

Dlaczego to zrobił? Ponieważ miał wsparcie ze strony Francuzów i przewodniczącego Międzysojuszniczej Komisji generała Henriego Le Ronda, którzy zgadzali się na jego żądania, lecz oczywiście była również druga strona, czyli przeciwnicy, na której czele stali Brytyjczycy, którzy obawiali się osłabienia państwa niemieckiego i równoczesnego wzrostu Francji. Brytyjczycy byli za przyznaniem tej słabiej uprzemysłowionej części Śląska, o czym również mówili Włosi.

Nawet przedstawiono dwie propozycje podziału Śląska. Pierwsza propozycja to linia Le Ronda (ładząco podobna do linii Korfantego), która obejmowała cały okręg przemysłowy i wschodnie powiaty Górnego Śląska.

Była również druga propozycja angielsko-włoska linia Percival-De Marinis, w której Polska miała otrzymać jedynie południowo-wschodnie obszary powiatów rolniczych i skrawki powiatu katowickiego, zaś cały obszar przemysłowy i powiaty północno-wschodnie miały przypaść Niemcom.

Negocjacje trwały przez cały kwiecień i niestety nic z nich nie wynikło.

Niemcy również przygotowywali się do konfrontacji, tworząc pod płaszczykiem organizacji społecznych grupę Oberschlesischer Selbstschutz (Samoobrona Górnośląska) czy Strostupen.

Polacy również nie próżnowali w przygotowaniach przeciwko powstaniu taka grupa jak DOP (Dowództwo Obrony Plebiscytu), która wcześniej była nazywaną Centralą Wychowania Fizycznego.

Na ulicach polskich miast pojawił się strajk generalny, który powstał z inicjatywy Wojciecha Korfantego i był znakiem nadchodzącej walki z Niemcami.

Znowu można było odczuć wrażenie, że pomiędzy Polakami a Niemcami rośnie przeogromna niezbyt przyjemna gęsta atmosfera, którą można zniszczyć, jak to robi szpilka z balonikiem w trakcie urodzin.

Co się stało z Alojzym i Antonim? Pierwszy również pojechał do Bytomia, w którym miał kolegę Stacha, z którym zaciągnął się do Freikorpsu, aby walczyć z Polakami.

Antoniego i Bertę połączyła stara miłość, która nie rdzewieje i nic nie rozłączy.

Antoni oczywiście poszedł na ochotnika, aby wygrać tą chorą rywalizację, która zrodziła się pomiędzy nim a jego bratem.

Nie chciał odpowiadać bratu pięknym za nadobne, lecz sytuacja, w której wszyscy brali udział nie pozwalała na inny wybór niż walka.

Miał również nadzieję, że raz na zawsze rozwiąże swój konflikt pomiędzy nim a bratem. Oczywiście nie chciał go

zabijać, bo uważał, że taka opcja jest ostateczna, a raczej powinno się dążyć do kompromisu.

Czas płynął nieubłaganie, co wprowadzało niepokój w mieszkaniu Berty i Antoniego.

Tylko głupiec nie bał się śmierci, która potrafi zaskoczyć nawet najbardziej wytrawnego żołnierza i pewnego siebie głupca, któremu wydaje się, że ima się kul, które lecą w jego stronę.

Nie wiadomo było, kiedy Antoni zostanie wezwany, więc na wszelki wypadek pożegnał się z Bertą, aby potem nie było już za późno. Uznał, że może się już teraz przydać oddziałom w postaci wsparcia lub transportu.

Kiedy podszedł do niej poczuł, że płyną z jej pulchnej twarzy kaskady łez, których nie umiała powstrzymać.

– Wrõcã õbiecujã ci! – przytulił ją Antoni.

– A jeźli niy! – Berta powiedziała łkając.

– Wrõcã – powtórzył dobitnie i pocałował ją w policzek jak najmocniej, ile się dało oraz dodał – Przajã cie!

Ona nic nie powiedziała, bo cały czas płakała co uniemożliwiało jej wypowiadanie słów.

Puścił ją w wielkim smutku i wyszedł z mieszkania, zostawiając za sobą kobietę, która nie wie, czy zastanie swojego chłopaka znowu w drzwiach.

Nie wiedział jeszcze jednego, że już nie wróci...

EPILOG

2/3 maja 1921(z poniedziałku na wtorek)
Miechowitz (Miechowice dzielnica Bytomia)

Ta noc nie należała do najspokojniejszych w życiu obydwóch ludzi, którzy znajdowali się pomiędzy dwoma barykadami.

Pierwszy z nich siedział w garnizonie, z którego dowiadzano się, jakie są kolejne decyzje, natomiast drugi wraz z innymi powstańcami znajdował się w pobliżu jednostki, którą obrano za cel.

Polacy byli uzbrojeni w karabiny Mauser wzór 98 kalibru 7,92 mm oraz granaty trzonkowe wz. 16 (Stielhandgranate M16).

O dziwo Niemcy w swoim garnizonie nie mieli żadnych czołgów, ale na stanie posiadali karabiny Maxim 08/15 czy Chauchat Mle 15.

Powstańcy bardzo powolutku przedostali się pod budynek w ogóle niezauważeni po to, aby zaskoczyć swojego przeciwnika.

Nagle wyszedł żołnierz Freikorpsu, który poszedł sobie na papierosa w ramach przerwy i na wielkie szczęście nie podszedł trochę dalej, bo natknąłby się na powstańców, którzy byli schowani za krzakami.

Kiedy wrócił do środka, równocześnie powstańcy wraz z dowódcą podbiegli do drzwi, a jeden z nich uchylił drzwi, sprawdzając, czy aby na pewno nikogo nie ma.

– Próżno możemy wchodzić – oznajmił.

– Teróż! – odparł po chwili dowódca.

Ten sam żołnierz ochotnik wykopał drzwi i wszyscy weszli do środka, lecz nie przewidzieli jednego, że za ścianą był ukryty żołnierz, który szybko zawiadomił pozostałych i zaczęła się strzelanina, którą z mocną przewagą wygrywali Polacy dzięki wsparciu strony Łagiewnickiej.

Antoni wraz z piątką powstańców sprawdzał kolejne magazyny, a tam z zaskoczenia wziął go jego brat i przewrócił go na ziemię, natomiast pozostali powstańcy strzelali się z żołnierzami.

Alojzy wyciągnął nóż i próbował wbić go w serce Antoniego.

– Mōm cie nareście tchōrzu! – wrzasnął Antoni, lecz przerwał, bo Antoniemu udało się uciec spod ostrza noża brata i po omacku zaczął szukać broni, lecz nagle rozległ się strzał, któryś z polskich powstańców strzelił do Antoniego i Alojzego.

Musiała to być pomyłka, bo sam powstaniec, widząc to, co zrobił podbiegł do oddziału niemieckiego i rozerwał się granatem na kawałki...

KONIEC

Słowniczek

Miasta:

- Kattowitz (z niemieckiego) – Katowice.
- Beuthen (z niemieckiego) – Bytom.
- Miechowitz (z niemieckiego) – Miechowice (Dzielnica Bytomia).

Ulice i budynki:

- Richard Holtzestraße (ulica Mariacka).

- Bahnhofstraße (ulica Dworcowa).
- Marienkirche (kościół Mariacki).
- Wilhelmplatz (plac Wolności).
- Friedrichstraße (ulica Warszawska).
- Schlosstraße (ulica 3 Maja).

Zwroty (po niemiecku i śląsku):

- Niy wierzã nawet wojsko musiało przyjechać coby bõł pokõj *Nie wierzę, że nawet wojsko musiało przyjechać, aby był spokój*).
- Ucisz sie karlusie *Uspokój się chłopaku*.
- Bez dyskusyji *Bez dyskusji*.
- Niy rozumiysz co gödõ matka? *Nie rozumiesz co mówi matka*.
- A ty sie w cołkości sie ôdzywõsz ôszydniku nõrodu A ty się w ogóle nie odzywasz *zdrajco narodu*.
- Jak Niymcy przegrajõm to ciebie zabijã pierono *Jak Niemcy przegrają to ciebie zabiję gnoju*.
- Antoni ôstõw go w pokoju *Antoni zostaw go w spokoju*.
- Majoryntne karlusy a bijecie sie jak dzieci, dõwõm wõm ôstatnie ôstrzeżynie jeżli to zaś sie powtõrzi to fater wõs zbijie pasym atoli nojwiyncyj dostanie Antoni, bo nic ci Alojz niy pedzioł *Dorośle chłopacy a bijecie się jak dzieci, daję wam ostatnie ostrzeżenie, jeśli to znowu się powtórzy to ojciec was zbiję pasem, lecz najwięcej dostanie Antoni, bo nic ci Alojzy nie powiedział*.
- Przecã to niy moja wina *Przecież to nie moja wina*.
- Dziwuje cie to, twojigo syna durch niy ma *Dziwi cię to, że twojego syna nadal nie ma*.
- No tak ino po co sie tak nerwować na zicher wrõci *Po co się tak denerwować na pewno wróci*.

- Ty nic niy rozumiesz *Ty nic nie rozumiesz.*
- Wiyecie co a mie cieszy iże niy ma tego obsranego Polaczka *Wiecie co mnie cieszy to, że nie ma tutaj zasranego Polaka.*
- Jak śmiesz gödać take słowa do brata *Jak śmiesz tak mówić do swojego brata.*
- Zabiłb bych tego gnoja *Zabiłbym tego gnoja.*
- Co ty gödösz *Co ty mówisz.*
- Ôd dycki mie spiyraliście tōż dziwuje mie waszō postawa *Od zawsze mnie wspieraliście więc dziwi mnie wasza postawa.*
- Ale niy bydã przistōwoł sie na zabicie mojigo syna *Ale nie będę się zgadzał na zabicie mojego syna.*
- Zoböczymy fto bydzie miol racyjō *Zobaczymy kto będzie miał rację.*
- Abo jō abo ôn *Albo ja, albo on.*
- Wröcã ôbiecujã ci *Wrócę obiecuję ci.*
- A jeźli niy *A jeżeli nie.*
- Prözno mogymy wchodźić *Pusto możemy wchodzić.*
- Teröz *Teraz.*
- Môm cie nareście tchörzu *Mam ciebie nareszcie tchörzu.*
- Przajã cie! *Kocham cię.*
- Und sind Sie zufrieden *Czy jest pan zadowolony.*
- Fragen Sie noch *Jeszcze się pytasz.*
- Hoffnung *Nadzieja.*

NA GRUBIE

Piotr Cieślik

Znom ten trud, śmierdzący pot śląskiego Hajera
Znom ten strach, co się jeden by dostał hercszlagu a inny
nie dostał, bo chcioł gibko wyjechać na wyrch
Durch ten som widok, szczyrbatych Hajerów, co im Kilof
po szczynie przejechoł, w imię zabicia strachu, że nie
wyjechoł, nie obejrzoł się słońca, kere
poradzi blendować w pysk, bo go ring wcis do zola,
Toż to Śląsko Ziemia zebrała Józka tego co znoł trud
Śląskiego hajera

CO, KAJ, KEDY

Balbina Michalczyk-Dutkiewicz

W czasach, kiedy radio mieli nieliczni gazeta była podstawowym źródłem informacji. Jednak, w gazetach opisywane były przede wszystkim fakty, które miały już miejsce. W sytuacji, gdy chciałeś być na bieżąco z toczącymi się wydarzeniami, musiałeś udać się do kogoś, kogo dziś nazwalibyśmy „źródłem dobrze poinformowanym”. Była to przeważnie osoba, która chciała pierwsza wszystko wiedzieć, a następnie innym chętnie przekazywała posiadaną wiedzę. To, że interesowała się każdą sprawą, nie uzasadnia tego, żeby nazwać ją wścibską. Nie można też uważać ją za plotkarę, bo czy plotkarzami nazwiemy dziś dziennikarzy, nie zawsze rzetelnie, relacjonujących bieżące wydarzenia?

U nas w siemianowickim familoku na Karola Miarki, taką dobrze zorientowaną osobą była Elfryda Pytlikowa. Pani Pytlikowa, zawsze wiedziała co, gdzie i kiedy, dlatego mówiliśmy na nią Tekla. Jej to nie przeszkadzało, bo zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później, każdy przyjdzie do niej, aby dowiedzieć się, co w Siemianowicach „w trawie piszczy”. Pani Elfryda, codziennie oprócz niedzieli, około godziny 10 brała ryczkę i szła przed familok.

O dyjcie pozór pizła na Antoniku 10 i Frida już wylazuje z sieni. Mo ryczka. Jak na niyj zicznie to bydzie zicała do 13, kiej jej chop niy wróci z szychty.

– Dzień dobry sąsiadko – pozdrawia Pytlikową pani Ania Mikulska. Mikulscy to rodzina mieszkająca na drugim piętrze. Oni w domu nie godają tylko mówią. Przyjechali tu, zaraz po wojnie, za pracą i zostali. Dobrzy ludzie, choć nie zawsze nas, Ślązaków rozumieją.

– Aaaa, Szczynść Boże – odpowiedziała Fridla i zapytała – A kajżeście byli?

– Byłam w zieleniaku. Pomarańcze rzucili. Kolejka była straszna, ale dostałam. Poczęstuje się Pani jedną? – zaproponowała Mikulska.

– Niy, dzinkuja, jo mom doma aplauziny. Mój dostał pakiet z Rajchu od bracika to momy. A powieła te aplauziny? – zainteresowała się Pytliczka.

– A wie, Pani, że nawet nie wiem, bo jeszcze kupowałam ziemniaki i buraki. Chcę dziś zrobić na obiad kartofelki z kotлетem mielonym i buraczkami – odpowiedziała pani Ania.

– Jo tyż dziś mom karminadla i zupa z oberiby – pochwaliła się Fridla.

– Ojej... jak ja dawno nie jadłam zupy rybnej, zresztą nie potrafię jej gotować. Jak Pani to robi? – zaciekała się Mikulska.

– Jo nigdy niy warzyła zupy z ryby, jo niy umia – odpowiedziała Frida.

– No, ale przecież dziś ma pani na obiad zupę rybną, tak Pani mówiła – zaczęła drążyć temat pani Ania.

– Niy z ryby, a z oberiby. Frelki, jak po polsku jest oberiba? – Pytliczka zapytała, przechodzące wnuczki Alojza z pierwszego piętra.

– Kalarepa – równocześnie odpowiedziały dziewczynki,

które zatrzymały się, żeby przysłuchać się rozmowie sąsiadek.

– Ha, ha, ha! – głośno zaśmiała się Mikulska i dodała – To się dogadałyśmy. Nigdy bym na to nie wpadła, że oberiba to kalarepa ha, ha, ha.

– No ja, wy sie jeszcze musicie dużo od nos, Ślonzoków uczyć – pod nosem stwierdziła Pytlikowa.

– Pani Elfrydo, a miałam się właśnie Pani zapytać. Co to wczoraj wieczorem się wyprawiało na klatce schodowej? Widziała Pani? Jacyś chuligani trzaskali muszle klozetowe przed drzwiami Bucholców. To skandal, żeby takie rzeczy wyprawiać na dzień przed ślubem Hani Bucholcówny. Niech sama pani powie, no na dzień przed ślubem. Ta dziewczyna, zamiast przygotowywać się do uroczystości musiała sprzątać po tych bandytach. To naprawdę skandal! – z olbrzymim oburzeniem wykrzyczała Mikulska.

– Wy mie za bozna robicie, ja? – zapytała Pytliczka i widząc zdziwioną minę sąsiadki kontynuowała – To wy nie wiycie, że przeddziyń żeniaczki jest polterabend?

– Polter, co? – zapytała Mikulska.

– Polterabend – wtrąciła się jedna z wnuczek Alojza – to proszę Pani taki zwyczaj, że na dzień przed ślubem, wieczorem przed drzwiami pani młodej tłucze się porcelanę, stare talerze, miski klozetowe i inne tego typu przedmioty. Potem, panna młoda musi to posprzątać, dać flaszkę i zagrychę tym, co tłukli. Wszyscy składają życzenia i piją za pomyślność młodych.

– A... to ja nie wiedziałam. Szkoda, bo mam stary obity serwis porcelanowy i dla szczęścia młodych, byłabym gotowa go poświęcić – oświadczyła zmieszana pani Ania.

– Wczoryj tyż tu była insza hycy – powiedziała, robiąc duże oczy Frida – Wiycie, że Johanowi jakieś lebry bachnyli gołymbie z chlywika?

– Ukradli? I co? – zainteresowała się Mikulska.

– Nic. Łone mu jeszcze skradli koło i fuzekle, co je na sznorze suszyli. To ci chachary pierońskie – ze złością powiedziała Pytliczka i dodała – to na pywno te Gorole z Czyładzi. W gazycie stało, że moc ostatnio takich kradzioków z Czyładzi tukej zjeżdzo.

Pani Ania kiwała tylko potakująco głową, bo nie chciała wyjść znów za niedouczoną. Jednak tak na prawdę, nie wiedziała, co to są fuzokle i o jakie koło chodzi. Gdy Pytlikowa, patrząc na jej spódnice, powiedziała jeszcze:

– Rajfeszlos mocie i knefel rozwarty w kiece – mówiąc to szybko się pożegnała.

– To leceć Pani Pytlikowa. Do widzenia – odparła Mikulska.

– No, ja chowcie sie – pożegnała ją Frida.

Z sieni wyszła Dorka.

– Kaj ciśniesz? – zapytała Frida.

– Lyca po knobloch i heringi, bo byda warzyć brołtzupa i brathering z kartofłami. Cisna, bo mój sie bydzie nerwo-woł, co z wami rajcuja.

– No to ciśnij dziółcha, ciśnij, bo twój leber jak wróci ożarty bydzie haje robić jak zawždy – powiedziała Frida i zwracając się do frelek od Alojza, dodała – A dyć łona niy mo życia z tym pijokiem. Pieron, ożarty chodzi celki dzień. No ja dziółszki, patrzecie co by mądrego absztyfikanta chyćić.

– Pani Pytliczko, a opowiecie nom jeszcze coś – poprosiła jedna z dziewcząt.

– Chcycie słuchać? To wam powiem, co mi dziś Marika godała – Pytliczka ochoczo zaczęła opowiadać. – Marika godała, że zeszłego tydnia znodli na Sienkiewicza jednego chopa z dwoma halbami w kapsiach. Łon legoł, tam kaj był Belweder, i nie dychoł. Niy wiedzieli eli żyje, eli niy. To go tam ostawili. Jak już 3 dni tak niy dychoł, to go wzięli i na kirchowie u Antonika pochowali. Terozki boroczek na tym kirchowie lego i niy dycho i dychać niy bydzie. A te halby, co mioł w kapsiach, znikli. I niy wiadomo, łon to wypił i umier, czy go umartego insi oskubali. A dyc, lepij by mioł jakby som te halby wypił i umier, niżby insi je wypili.

– A kaj jest ten Belweder, bo tam pewnie boboki terozki straszą? – z lękiem w głosie zapytała wnuczka Alojza.

– Belweder to tam kaj przyd wojną czynsto śpiywoł chór „Chopin” i „Kasyno”. Łoni tyż śpiywoli w Pszczelniku. Jakie szwarne chopy tam, w tych chórach były, a najszwarniwszy Tadek Bawoł. Jak łon śpiewoł to wszystkie dziełchy ślimtały. Łon terozki żyje kaj indziej i nazywo sie Franco Beval, śpiwoł w La Scali i na inszych tyjatrach. Znocie go?

– Niy – razem odpowiedziały dziewczynki.

– No ja, wy go niy znocie. Dziełszki, a wy wiycie, że mój chop i jo tyż my śpiywali w chórze. Tam my sie poznali. Roz mi pomógł gardiny zaniyść do szpanowaczki. Gardiny były heklowane. Po wyskrobaniu ich w kartofelmyjlu szło sie je mokre sztalować na roma. Mój mi te gardiny niósł. No ja, od tego jo mu przajała i on mi przajoł. I łojcowie musieli szykować ausztojer. No, ja... – Fryda zamyśliła się i zamilkła.

– Niech Pani jeszcze coś opowie – prosiły dziewczynki.

– Na dziś szlus, ida, bo mój chop zarozki na bani przyjdzie, a łobiod niyuwarzony. Przyćcie jutro, tyż bydymy roz-

prawiać co, kaj, kedy – zakończyła rozmowę Fryda, wstała, wzięła ryczkę i zniknęła w sieni.

Dziewczynki patrzyły, na odchodzącą Pytlikową, z podziwem. Gdy Fridka zniknęła w antryju, jedna z nich powiedziała:

- Alyż ta Pytliczka mądra. Jak byda w jej wieku też tu byda siadać na ryczce i rozprawiać z inszymi.

Po latach okazało się, że ta właśnie dziewczynka została dziennikarką gazety ukazującej się w Siemianowicach. Na pewno to przykład Pytlikowej zainspirował jej zawodową karierę.

PRAWDZIWE SERCE ŚLĄSKA

Gabriel Gorel

Pewnego pięknego słonecznego dnia, gdy słońce rozpościerało się na niebie, mały Janek wracał ze swoich popołudniowych zajęć. Hasał przez znajome wąskie uliczki, aż dotarł do swojej kamienicy – szarej, lecz pełnej wspomnień. To właśnie w niej chłopiec się wychowuje. Tu stawał pierwsze kroki, tu uczył się najważniejszych rzeczy – odwagi, miłości oraz tego, że dom to nie tylko ściany. Choć od narodzin mieszkał w Katowicach, sercu Śląska, wciąż nie znał jego tajemnic.

Gdy chłopiec dochodził do bramy kamienicy, usłyszał niepokojące szmery i szuranie. Pod wpływem emocji wystraszył się i podskoczył. Po chwili niepewności wyskoczyły zza krzaków Bercik i Lutka – dwa beboki, czyli stworki, o których kiedyś napomknął mu dziadek.

– Kaj idziesz bajtlu, bo mamy dło Ciebie sprawę – rzekł Bercik.

– Co?! Kim Wy jesteście? – odpowiedział zaniepokojony Janek.

– Jesteśmy bebokami. A mój kolega chciał zapytać Cię, gdzie się wybierasz – wyjaśniła Lutka.

– Wracam do domu... z popołudniowych zajęć – odrzekł chłopiec z załamanym głosem.

– Zostałeś wybrany przez nas jako pomocnik w bardzo ważnej sprawie – powiedziała Lutka.

– Ale w jakiej sprawie? – zapytał chłopiec.

– Musisz wraz z nami odnaleźć serce Śląska – naszej ojczyzny, które zostało skradzione! Przez tą kradzież znikają wszystkie kolory, szczęście i radość – wykrzyczał bebok.

Bercik i Lutka zaproponowali Jankowi wyprawę, dzięki której wszystko znów odżyje i każdy Ślązak znów będzie mógł się cieszyć kulturą tego pięknego, zjawiskowego rejonu.

– Akceptujesz ta oferta? – zapytał Bercik.

– Tak, podejmę się tego wyzwania – odparł Janek.

Choć Bercik nie umiał mówić po polsku, bardzo dobrze go rozumiał, przez co bez żadnego problemu mógł pogodać z chłopcem. Natomiast Lutka potrafiła posługiwać się i śląską gwarą, i językiem polskim, dlatego była tłumaczką dla Janka. Ten rzucił torby z zajęć przed klatką i pobiegł za bebokami.

Stworki opowiedziały Jankowi, że pewnego słonecznego, bezchmurnego dnia, podobnego do dzisiejszego, bawiły się na placu. Podczas fajeru znalazły starą, żółkniętą mapę. Byli wtedy za młodzi na jakiekolwiek poszukiwania skarbów, więc zachowali ją na odpowiedni dzień. Gdy ten wreszcie nadszedł, uknuli niezły plan, którego chłopiec był częścią.

– Ale, jak to? To skąd Wy mnie znacie? – zapytał chłopiec.

– Pewnego popołudnia wpadłeś nam w oko, a później musieliśmy wybadać, czy nadajesz się na taką rajzę – odparła Lutka.

– A co oznacza „rajza”? – zapytał zaintrygowany chłopak.

– „Rajza” to po śląsku „przeprawa”, Janku – wytłumaczyła spokojnie.

Gdy wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, wreszcie otwarli mapę i odczytali, że pierwsza wskazówka wskazuje na śląską karczmę. Ile pędu w nogach pobiegli do restauracji, gdzie zamówili śląskie dania, a także słuchali śląskiej kapeli. Podczas jedzenia najznakomitszych klusek, rolady, modrej kapusty, żuru i karminadla wsłuchiwali się w pieśni śląskie, śpiewane gwarą. Chłopiec wyłapywał podstawowe zwroty, ale nadal śląski język był dla niego „czarną magią”. Natomiast przy jedzeniu przypasował parę dań do kuchni śląskiej, o których nie miał pojęcia. Później kapela nauczyła także chłopca regionalnego tańca, z którego był bardzo zadowolony. Obiecał sobie, że po powrocie do domu nauczy swoich rodziców podstawowych kroków tego tańca i zacznie pichcić z nimi kluski śląskie, które szczególnie przypadły mu do gustu.

– Dobrze, zjedli my, tańczyli, to teraz musimy znojsć ściyżkę – oświadczył Bercik.

– Dokładnie, a ja mam pomysł. Każdy idzie w inną stronę i szuka wskazówki. Ja na lewo, Bercik na prawo, a Ty Janku pójdziesz poszukać na dworze – powiedziała Lutka.

Zgodnie z planem Lutki, chłopaki podporządkowali się i zaczęli szukać.

Pierwsze tropy nie zajęły im długo, gdyż chłopak po wyjściu na dwór znalazł drogę zrobioną z kolorowych liści. Zaprowadziła ona go do starego rozłożystego dębu. Chłopak stwierdził, że wygląda on jak tutejszy strażnik, chroniący każdego w pobliżu. To właśnie w jego dziupli znalazł szklaną butelkę, w której znajdował się list.

– Lutko! Berciku! Znalazłem list! – wykrzyczał malec.

Od razu oddał go bebokom, ponieważ cały był napisany po Śląsku. Oto jego treść: *Gratulujōm znojściym skazōwki! Keruj do gruby po dalszo.*

– Musimy iść do kopalni! – oznajmił stworek.

Ruszyli do miejsca, gdzie wydobywa się węgiel kamienny, który jest najbardziej charakterystycznym i historycznie najważniejszym surowcem województwa śląskiego. Gdy dotarli, zeszli w dół po schodkach, gdzie spotkali Skarbnika. Na jego widok, Janek bardzo się zdziwił, bowiem jest to duch zamieszkujący podziemia kopalni, który chroni i opiekuje się górnikami, ale także strzeże węgla. Chłopiec myślał, że duchy są na ogół złe, mają straszyć i nawiedzać ludzi, ale w tym przypadku jest kompletnie inaczej. Skarbnik, podczas ich spotkania, opowiedział o niezwykle trudnej i niebezpiecznej pracy górników sprzed stu lat. Poprawił on swoją czapkę i westchnął:

– Dziecioki, sto lot tymu górnik niy miół lekko. Fedrowoł kilofym, w zadymieniu, po dwanaście godzin dziennie. Wielu wracało styranych, a niejeden w ogóle już nie wrócił. Ale trzymali się razem – bo wiedzieli, że robili dło familij i dło całego Ślōnska.

Duch pokazał im także lampkę górniczą, która była, jest i będzie symbolem ciężkiej górniczej pracy, determinacji oraz wiary. Janek był bardzo zdziwiony i zdruzgotany, jaki trud górnicy musieli wkładać w swoją pracę. Następnie Skarbnik dał im zagadkę o węglu i pracy górników, w zamian której otrzymali kolejną wskazówkę.

– Na sōm kōniec podarzcie sie na Jarmark w stolice województwa ślōnskigo, po ôstatniō doradã. Mōm nadziejã,

iże uda Wõm sie ôsiõngnõńc zamierzõny cyl! – powiedział Skarbnik.

– Dzinkujemy piyknie! – odrzekł uradowany Bercik.

Jarmark był pełen świątecznych atrakcji, karuzel, stanowisk z grzańcem i gorącą czekoladą, ale również zapachów krupnioków, smalcu i ogórków. Janek wraz z bebokami zakochali się w klimacie panującym w Katowicach, choć nie był on taki, jak sobie wyobrażali – część kolorów, radości i szczęścia zanikało. Był to dla nich znak, że muszą się pospieszyć, gdyż nie zostało im za dużo czasu. Tak, jak wcześniej się podzielili stronami i zaczęli szukać wskazówki w celu ratunku dla Śląska.

W pewnym momencie Bercik zauważył grupę przyjaciół, która wspólnie ucztowała, bawiła się i cieszyła panującym klimatem. W pewnym momencie, bebok zdał się na odwagę i zapytał:

– Przepraszam, że przerwołech twoja aktywność, ale szukamy skazõwki, co põmõże mi i mojim kamratõm uratować Sylezyjo. Mogłbyś z nami sprawdzić te õbszary? To byłoby barzo põmocne!

– Jasne, już bierzemy się do roboty! – wykrzyczała grupa.

Od tamtego momentu w poszukiwaniu brały udział dwa beboki z Jankiem i szóstka przyjaciół.

Po godzinie nieustannych szukań, jeden z męzczyzn natknął się na ciekawe stoisko z bombkami. Przez chwilę przyglądał się jednej bombce, a szczególnie przedmiotowi, który znajdował się za nią. W końcu pękł i postanowił, że tak tego nie zostawi.

– Przepraszam czy mógłby Pan odsłonić tę bombkę? – zapytał.

– Jasne! – odpowiedział sprzedawca – A co to za kartka...

– Właśnie ta, którą potrzebuję! – odparł mężczyzna.

Kiedy sprzedawca oddał mu kartkę, wykrzyczał na cały jarmark:

– Halo! Znalazłem wskazówkę! Chodźcie tu prędko!

Wszyscy przybyli najszybciej, jak mogli, a wtedy Lutka przechwyciła kartkę i ją rozsunęła.

Na ich niekorzyść, przechodzień nieumyślnie popchnął stworka, przez co papier wyleciał jej z rąk. Podmuchy wiatru wyrzuciły go prosto pod koła jadącego tramwaju, rozrywając na strzępy.

– O nie, co za pech! – krzyknął Janek.

Każdy myślał, że to już koniec poszukiwań, a serce Śląska nigdy nie zostanie odnalezione. Gdy sprzedawca bombek zobaczył całą tę sytuację, przyszedł im natychmiast z pomocą.

– Widziałem kilka liter znajdujących się na tym papierze! – wykrzyczał.

– Jakże to były litery? – zapytała Lutka.

– Zobaczyłem na początku „H”, a na końcu: „łda” – odparł mężczyzna.

– Wiem! To będzie hałda! – powiedział bebok.

– A co to jest ta cała „hałda”? – zapytał malec.

– Hałda to sztuczne wzniesienie usypane z odpadów górniczych – odpowiedziała Lutka. – Teraz wiemy, gdzie podążać!

Wszyscy poszukiwacze pognali, ile sił w nogach na najbliższą hałdę. Kiedy ją ujrzeni, Bercik, Lutka i Janek rozkazali reszcie zostać w dole. Oni sami, niczym hajersko szola szybko pobiegli na górę.

Gdy zauważyli już szczyt, zdyszani nie poddali się. Gdy finalnie dotarli, ujrzeni przepiękną, zjawiskową panoramę Śląska. Zrobiła na nich tak ogromne wrażenie, że aż buzie same im się nie zamykały! Po chwili wspólnie znaleźli kartkę. Jakie było ich zdziwienie, gdy nie ujrzeni na niej niczego zapisanego. Była to zwykła, pusta kartka! Aż po chwili namysłu uradowany chłopiec powiedział:

– Bercik! Lutka! Już rozwiązałem nasz problem! To nie dany przedmiot czy rzecz jest sercem Śląska, a kultura, gwara i tradycje – wszystko co łączy Ślązaków!

– No tak... a my zdesperowani szukaliśmy czegoś, czego w sumie nie było – odparła Lutka.

– Jõ myślałem, iże serce to jakiś przedmiot, a to je kultura! Kluczym do sukcesu sōm ludzie, tańce i jedzyniõ, a niy jakoś rzecz – powiedział Bercik.

– To prawda! – odpowiedziała Lutka.

– Ruszejmy na stary familok, fajerować sukces! – rzekł Janek.

– A jednak potrafisz mówić po Śląsku – zwrócił się do niego bebok.

– Tak, dzięki Wam nauczyłem się wielu wspaniałych rzeczy! Nigdy nie sądziłem, że tutejsze tradycje, historia i język mogą być tak fascynujące – odrzekł malec.

Ruszyli po resztę poszukiwaczy i udali się wprost do starego familoka, w którym świętowali swój wielki sukces. W ostateczności województwu śląskiemu i wszystkim Ślązakom znów oddano kolory, radość i szczęście.

Na sam koniec, gdy wyczerpani celebrowali sukces, Bercik nagle schylił się pod stół.

– Co ty tam robisz? – zapytał Janek.

– Szukom tego serca... może się tu stoczyło – odrzekł be-bok całkiem poważnie.

Lutka złapała się za głowę, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przygoda małego Janka wraz z Bercikiem i Lutką dowodzi, że dzięki wspólnej pracy, przyjaźni i determinacji można dokonać wszystkiego. Chłopiec dowiaduje się, że śląska gwara, jedzenie, regionalne tańce, ale przede wszystkim ludzie to coś zjawiskowego, jedyne w swoim rodzaju. Wszyscy Ślązacy powinni się cieszyć, bo razem tworzymy coś magicznego, razem tworzymy Śląsk.

Prawdziwe serce Śląska bije w tradycjach, historii i języku.

FICYNUS I KATOWICERA

Marian Jadwiszczok

Trudno sobie wyobrazić teraz wjazd do Siemianowic i ulicę Katowicką z początku ubiegłego wieku, gdzie początek zabudowy rozpoczynałby się od kamienic przy obecnej krętej, wąskiej ulicy Starej Katowickiej. Właśnie tak kiedyś było jadąc z góry od Starego Alfredu do Siemianowic wąską ulicą Katowicką na krótko w latach 50-tych przemianowaną na ulicę Stalinogrodzką wzdłuż szpaleru drzew z jednej i drugiej strony drogi. Z lewej strony drogi na wzniesieniach pokrytych łąkami z wieloma biedaszybami, gdzie dopiero od 1952 roku rozpoczęto budowę osiedla Tuwima z kamienicami trzy i cztero kondygnacyjnymi. Z prawej strony wzdłuż drogi usytuowane były tory tramwajowe najpierw z wąskim torem, później po latach szerokim, a za nimi rozpościerały się łąki i czarne hałdy z wieloma niebezpiecznymi też biedaszybami. Z daleka widać było potężną hałdę hutniczo-kopalnianą. Na dole droga ta skręcała w obecną ulicę Starą Katowicką, gdyż drogi na wprost jeszcze nie było i dostrzec można było dopiero pierwsze zabudowania. Z lewej strony widoczny był „Zomek” przy Ficynusie, jak o nim mówili mieszkańcy z tej okolicy. Obiekt naprawdę wyglądał jak zamek czy pałac, jego wykonanie i kształt był imponujący, wybudowany przez Hrabiego Donnersmarcka w 1856 roku i przebudowany w 1896 roku. Ta przepiękna budowla była później sie-

dzibą Zarządu Kopalń Hrabiego. Po II Wojnie Światowej zamieszkiwali w nim pracownicy dozoru i nawet w pewnym okresie były tam nawet biura i kasy z kopalni Ficynus, a później do momentu wyburzenia mieszkały tam osoby mające przydział z Urzędu Miasta. W latach 70-tych XX wieku prawdopodobnie z ziemi z piwnic tego obiektu wydostawał się trujący dwutlenek węgla zagrażający życiu mieszkańców, dlatego władze kopalni próbowały temu zaradzić zabezpieczając te miejsca odpowiednimi materiałami i ostatecznie zdecydowano o wyburzeniu w 1975 roku tego obiektu. Budowla naprawdę wyglądała jak pałac i szkoda, że w taki ordynarny sposób znikła pod gruzami w błyskawicznym tempie. W tym miejscu postawiono cztery czteropiętrowe budynki mieszkalne z dużej płyty i jest „git”. Z tyłu „zomka-pałacu” na górze w kierunku ul. Okrężnej wybudowane były równoległe dwa ciekawe budynki istniejące na szczęście do dzisiaj pod adresem Katowicka 16, w których mieszkali na początku pracownicy dozoru Kopalni Huta Laura, a obecnie są też budynkami mieszkalnymi zarządzanymi przez Spółdzielnię Mieszkaniową. Odległość pomiędzy „Zomkiem”, a tymi budynkami była mała, a dzieliła ich polana ze swobodnym przejściem. Schodząc schodkami z tych kamienic w kierunku obecnej ulicy Lipowej w najniższym położeniu terenu na wysokości obecnego kiosku w pobliżu budynku nr 2a znajdował się kort tenisowy, do którego prowadziły alejki z przyległych do Pałacu skwerów. Na kortach tych grywała kadra kierownicza kopalni Huta Laura i nie tylko. Po zakończeniu w 1960 roku budowy nowego odcinka ulicy Katowickiej, wiaduktu kolei wąskotorowej i torowiska tramwajowego powstał tzw. wążów, który rozdzielił te zabudowy. Natomiast z drugiej strony „Zomku”, gdzie było jego główne wejście istniał też

ciekawy skwer z licznymi krzewami, drzewami i przepięknymi kwiatami odpowiadający takiemu miejscu i obiektowi. Po drugiej stronie ulicy, gdzie obecnie funkcjonuje hala produkcyjna, na początku XX wieku Kopalnia Huta Laura wybudowała trzy podłużne budynki mieszkalne dla swoich pracowników. Budynki te były jednopiętrowe z szarą elewacją i wyburzone zostały jednocześnie z wspomnianym obok „Zomkiem”. Ciekawostką jest, że w jednym z tych budynków mieszkał nasz wspański artysta Antoni Halor z rodziną. Idąc nieco w kierunku obecnej szkoły napotykamy na ulicę Rutkowskiego, obecnie Składową, która prowadziła do samej byłej bramy głównej kopalni Huta Laura, później kopalni Ficynus i Siemianowice. Wzdłuż tej ulicy do dzisiaj istnieją ciekawe kamienice mieszkalne, kiedyś przeznaczone dla pracowników dozoru kopalni. Z tyłu po prawej stronie za tymi kamienicami stoi do dzisiaj przepiękna budowla w kształcie litery „U”, która była kiedyś siedzibą Administracji Przedsiębiorstw Kopalni Huta Laura. Budowla ta istnieje do dzisiaj jako normalny budynek mieszkalny, nie odznaczający się od pozostałych zabudowań. Obiekt obecnie zaciśnięty jest drzewami, garażami, zaniedbany. Już nie prezentuje się tak ładnie jak ponad 100 lat temu. Warto go jednak zobaczyć. Budynek ten na niektórych zdjęciach pojawiających się w mediach społecznych opisywany jest błędnie jako budynek Administracji Dóbr i Lasów, a nim nigdy nie był. Przed wejściem głównym do byłej Dyrekcji i bramą do kopalni przebiegała kiedyś kolej wąskotorowa oraz tory tramwajowe linii 13 i 12. Tak, linia tramwajowa kiedyś tu przebiegała, gdyż na wysokości ul. Klonowej patrząc od Starego Alfredu tory skręcały mocno w prawo przed ogródkami, a potem łukiem w lewo właśnie pod dyrekcję i bramę kopalni. Za bramą kopalni

był przystanek i tramwaj przejeżdżał pod nieistniejącym już małym wiaduktem kolei wąskotorowej i dalej w kierunku Huty włączając się w drogę przy obecnej Szkole Meritum. Tramwaj dalej jechał w dół i przy budynku starej dyrekcji Huty Laura skręcał w lewo na Plac Skargi, gdzie kończył swój bieg. Motorniczy prznosił wtedy tylko swoje „kurble” z przodu do tyłu tramwaju i wracał po chwili w powrotną trasę. Ciekawą sprawą i to na skalę europejską, czy krajową było to, iż nasze miasto było drugim miastem w kraju, które uruchomiło trakcję tramwajową zasilaną elektrycznie, rok po Gdańsku. Było to w 1896 roku i można było wtedy dojeżdżać do miasta Katowice linią 13. Kraków wprowadził tramwaje elektryczne w 1901 roku, a Warszawa dopiero w 1908 roku. Natomiast już w 1900 roku można było dojechać też z Siemianowic do Chorzowa tramwajem linii 12 zasilanym elektrycznie. Jadąc ulicą Katowicką, obecną Starą Katowicką od omawianego wcześniej „Zomka” i mijając obecną Szkołę Meritum można było dojechać pojazdem, aż do obecnych szlabanów kolejowych w ulicy Fitznerów i Głowackiego, gdzie z lewej strony nie było jeszcze ulicy Sienkiewicza. Na tym odcinku poprzedniej ulicy Katowickiej tereny Huty mieściły się z lewej, jak i prawej strony, a górą przebiegały tylko urządzenia technologiczne. Ulica Katowicka w tym kształcie funkcjonowała do lat 40-tych XX wieku do momentu budowy Hali Innocenti zajmując cały ten teren, co było koniecznością zamknięcia drogi i wykonania alternatywnego połączenia z miastem przez ulicę Sienkiewicza, jako nowej nitki drogowej. Ulica Stara Katowicka stała się później ulicą ślepą do obecnej też ślepej ulicy Hutniczej. W połowie lat 80-tych XX wieku zdarzyła się nieprzewidziana sytuacja, że właśnie ten odcinek drogi stał się objazdem dla całego ruchu kołowego po-

ruszającego się nową ulicą Katowicką. Ruch kołowy tym objazdem był utrudniony, powolny, ale zdał egzamin, wyjścia innego przecież nie było. Przyczyną objazdu było potężne zapadlisko jakie powstało w jezdni na prawym pasie zaraz przy torowisku tramwajowym przy tzw. mijance. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a kierowca samochodu Syrena jadący z Katowic w ostatniej chwili zauważył nagle pojawiające się zapadlisko w jezdni, zatrzymał się, wycofał i umiejętnie ostrzegł innych kierowców oraz nadjeżdżający tramwaj. Do tego zapadliska śmiało weszłyby cztery samochody Syrena. Ja z pracownikami ze Służby Drogowej mieliśmy robotę od popołudnia do późnych godzin nocnych. Nie wspominałem jeszcze o szlabanach kolejowych w ulicy Stara Katowicka jakie były na trasie kolei wąskotorowej przebiegającej od strony ulicy Trafalczyka w kierunku na Georgshütte i do Katowic. Oczywiście szlabany obsługiwała osoba z budki dróżnika. Przy szlabanach w miejscu obecnego boiska szkolnego funkcjonowała przez wiele lat ciekawa, charakterystyczna, wysoka, okrągła wieża ciśnień, w której do momentu jej wyburzenia mieszkała cały czas jedna rodzina. Szkoda tej ciekawej historycznej budowli, która jak wiele innych zabytków została stracona. Za wieżą wzdłuż ulicy, gdzie teraz mieści się Szkoła Meritum wybudowane były małe domy mieszkalne. Pozostała z tej strony jedyna kamienica dwupiętrowa w ulicy Hutniczej 24. Za tą kamienicą w kierunku obecnej pętli tramwajowej i bramy zachodniej Huty Laura ciągnęły się szerokie planty z alejkami i ławkami dla pieszych. Trudno sobie to teraz wyobrazić, ale tak było. Należałoby tu wspomnieć, że za zabudową obecnej Szkoły w ulicy Trafalczyka powstała kolejna duża zabudowa mieszkalna dla pracowników Huty Laura nazywana Nojbał 1. Natomiast jak jeszcze nie istniał „wąwóz”

w miejscu ulicy Katowickiej, Huta Laura wybudowała wcześniej bo już pod koniec XIX wieku dla swoich pracowników szereg domków dwurodzinnych z ogródkami przydomowymi. Była to zabudowa drewniana na wzór domków fińskich. Pracownicy huty byli oczywiście zadowoleni, że mieszkają blisko zakładu pracy, że mogli hodować w zagrodzie zwierzynę (gadzinę), zbierać warzywa i owoce z przydomowych ogródków. Cały ten obszar nazwany został jako Kolonia Grabie, a wzięło się to od drzew jakie na tym terenie leśnym rosły, a musiały być niestety wycięte, włącznie z terenami jakie zajęła cała Huta Laura. A, że były to w większości graby, to nazwa przyjęta została jako Kolonia Grabie. Dotyczyło to lat 30-tych XIX wieku jak rozpoczęto budowę Huty Laura. Wracając do obecnej ulicy Stara Katowicka, to za szlabanami kolei wąskotorowej w kierunku Huty po prawej stronie nie wiem jak to się stało, ale do dzisiaj na szczęście jeszcze istnieje ponad 120 letni budynek pod numerem 1 i to do dzisiaj zamieszkały. Chyba poprzednie władze o nim zapomniały i pozostał. Budynkowi należy się remont i zachowanie go na jak najdłużej, bo jest naszą wspólną historią. Idąc dalej kilkanaście metrów w dół ulicą Stara Katowicka, za tym budynkiem w prawo wzdłuż nieistniejącego betonowego ogrodzenia byłej Huty Laura istniała droga łącząca ulicę Stara Katowicka z ulicą Matejki i była dobrym połączeniem drogowym z Hugo i Georgshütte. Ulica w tamtych czasach niestety i takie też były decyzje została wchłonięta przez Hutę Laura i pozostał tylko chodnik dla pieszych wzdłuż nasypu kolei wąskotorowej. Nachodziłem się tym przejściem sporo za dziecięcych lat z babcią i dziadkiem oraz w latach 80-tych XX wieku do pracy mieszkając przy ulicy Jedności. Ciekawostką jest, że za budką dróżnika w kierunku Hugo przy

kopalni był dworzec towarowy z dużym magazynem wypełnionym towarem. Do dzisiaj jeszcze pozostały po tym dworcu niskie baraki. Miejsce to nazywane Ficynusem kojarzyło się z przyległą do tego miejsca kopalnią Ficynus, która była tu od „zawsze”. Mało kto jeszcze pamięta bramę wjazdową do kopalni z jej ostatnich lat, a tą pierwszą tym bardziej. Brama ta na zdjęciach z początku XX wieku wyglądała fantastycznie i znów po latach czterdziestych musiała być rozebrana, bo prawdopodobnie miała elementy nie pasujące do tamtych lat. Po likwidacji kopalni pozostały po niej tylko niektóre obiekty, w których funkcjonują różne prywatne firmy i nawet przez parę lat udostępniona była droga wewnętrzna kopalni do przejazdu pomiędzy ulicą Składową, a ulicą Konopnickiej do czasu zablokowania wyjazdu przez osobę prywatną, do której należał ten teren. Dla jednych, jak już wspomniałem miejsce to nazywano Ficynus, ale funkcjonowała też nazwa Katowicera i jak kogoś pytano, gdzie mieszkasz – odpowiadał, że na Katowiczerze. Zapomniałbym wspomnieć o ładnej starej przeszło 100-letniej kamienicy o numerze 22 z prawej strony idąc w stronę ogródków „Laura” na wlocie w ulicę Stara Katowicka, która pamięta jeszcze czasy z końca XIX wieku. Idąc dalej za tą starą kamienicą po lewej stronie prawie niezauważalna stoi drobna zabudowa należąca do Zakładów Tramwajowych, a mieści się tam podstacja tramwajowa. Teraz jest podstacją bezobsługową, ale w latach minionych dyżury pełnili pracownicy firmy. Pamiętam to miejsce dokładnie, gdyż pracowała tam moja ciocia Anna, miejsce jak dla mnie tajemnicze, niebezpieczne, zawsze czyste z wieloma tabliczkami ostrzegawczymi i zakazu. Za tą podstacją, pod hałdami siedziby miały różne firmy między innymi PTHW i „słynna firma paliwowa”. Opisuując to miejsce należałoby

wspomnieć jeszcze o hałdach jakie ciągnęły się w kierunku obecnych ogródków Laura. Z jej lewej strony za ogródkami rodzinnymi „Nadzieja” Kopalnia wagonami, kolebami systematycznie wywoziła odpady kopalniane, a Huta odpady z pieców hutniczych. Hałda z tej strony była przeogromna, do pewnego czasu i ciągnęła się, aż w kierunku Georgshütte. Na wprost obecnej ulicy Stara Katowicka, gdzie są obecnie ogródki Laura oraz w prawo za ogródkami Jaśmin rozciągały się niskie czarne hałdy z dużą ilością niebezpiecznych biedaszybów. Miejsca te dawały chleb wielu mieszkańcom, ale wielu też niestety zginęło na miejscu. Miejsca te należały do bardzo niebezpiecznych i jak opowiadali świadkowie tych zdarzeń nawet odprawiano tam na miejscu ceremonie pogrzebowe, gdyż osoby, które tam ginęły zostały już tam na wieki. Mój znajomy p. Zygmunt opowiadał mi jak jego mama z nim w ciąży wieczorem z siostrą przechodziła przez te hałdy na skróty, aby dostać się jak najszybciej do Huty Cynku na Wełnowcu do męża. Siostra idąc z przodu w pewnym momencie wpadła do głębokiej dziury po biedaszybie i mama usłyszała tylko jeden krzyk i następnie nastała cisza. Z racji tej, że było już ciemno mama znajomego jak stanęła od razu na baczność tak w tej pozycji stała do rana bojąc się, że może też nagle wpaść do głębokiej dziury i zginąć. W tych miejscach obecnie są ogródki działkowe, garaże, a na hałdach wysokich z lewej strony trwa eksploatacja pozostałości hałd hutniczych. Ficynus i Katowicera czekają jeszcze na zmiany, bo coś musiałoby tam zaistnieć, zmienić się, aby te miejsca „ożyły” i dorównały do pozostałych okolic naszego fajnego miasta.

GLOSSA DO DZIEJÓW SIEMIANOWICKICH BIEDASZYBIKARZY

Zdzisław Janeczek

Biedaszybikarstwo było w międzywojniu powszechną praktyką. W okresie wielkiego kryzysu, w latach 1929-1935, wielu miejscowych robotników przeważnie pobierało zasiłki dla bezrobotnych i dorabiało przemytem oraz nielegalnym wydobywaniem węgla z tzw. biedaszybów. Na terenie Siemianowic i Huty Jerzego czynnych było od 50 do 100 szybików. W 1932 r. z 60 szybików, na których zatrudnionych było około 400 robotników, wydobywano 2000 t węgla. Tutejsze pola węglowe należały do najobfitszych; głębokość szybów wahała się od kilku do 20 m. Łatwy zbyt urobku zapewniały pobliskie stacje kolejowe w Bytkowie, Siemianowicach i Michałkowicach. Węgiel z siemianowickich biedaszybów trafiał daleko, pod Kraków, Częstochowę, Lubliniec, Bielsko i Żywiec. Kupowała go także Łódź, huta szkła w Szczakowej i zakłady metalowe Fitznera w Sosnowcu oraz okoliczne wapienniki, cegielnie i piekarnie¹.

O wysokości urobku na dzikich szybach świadczyła między innymi działalność Żydów Kleimana i Sommera z Dąbrowy Górniczej, którzy dziennie skupywali i wysyłali od 30 do 40 wagonów węgla. Nabywców nie brakowało, gdyż cena z 1 tonę węgla wynosiła od 7 do 15 złotych i była konkurencyjna w stosunku do oficjalnego cennika –

45 złotych. Rozwój dzikiego kopalnictwa spowodował spadek sprzedaży detalicznej w niektórych kopalniach o 60%.

Łatwość zbytu i wysoki zarobek zachęcały do ryzyka i produkcji. W okresie koniunktury górnicy, którzy pracowali, zatrudniając wyłącznie członków swych rodzin (na dużych szybach), osiągalni czasem dosyć wysokie zyski – w miesiącu od 1300 do 1500 złotych. W dobrym szybiku bowiem wydajność była nawet 50 t dziennie. Rozpiętość zarobków była jednak i tutaj bardzo duża, niekiedy musiano zadowolić się dochodem 2 złotych dziennie. Przeciętna gaża pracującego na powierzchni wynosiła około 5 złotych, a rębacza pracującego na dole od 8 do 10 złotych².

Łatwość zarobku czasami stawała się przyczyną demoralizacji. Ciężko zarobiony pieniądź pochłaniały wystawne libacje i zabawy lub restauracje, w których nierzadko na konto górników pili policjanci, zatrudnieni w celu zwalczania dzikiego kopalnictwa. Nieprzypadkowo tylko na ulicy Jana III Sobieskiego można było wówczas doliczyć się kilku lokali gastronomicznych, prowadzących wyszynk wódki. Mimo ciągłego zagrożenia życia, biedaszybkarze nie tracili fantazji, np. jeden z „bezrobotnych” kupił swojemu przyszłemu zięciowi smoking i wynajął dla młodej pary karetę do ślubu. Jednak gdy zabrakło pieniędzy, trzeba było zaczynać od nowa.

Niektórzy całe życie spędzali na biedaszybach. Tu nie tylko pracowali, ale jedli i spali. Była to okrutna i twarda szkoła życia. Górnicy z biedaszybów często ulegali wypadkom w pracy lub umierali na gruźlicę³. Stare wyrobiska i okoliczne hałdy były także schronieniem ludzi, którzy nie zawsze żyli zgodnie z prawem, a ich jedyne zajęcie polegało na zbieraniu kawałków węgla.

Bezrobotni siemianowiczanie uruchomili tu kilkaset dzikich szybów, drażonych na głębokość około 20-25 m. Szyby były czasami wyposażone w ręczne windy, przy pomocy których wydobywano urobek i spuszczano w czeluść zdesperowanych górników. Obok wznoszono szałas, gromadzono drewno na szalunek, palono ogniska i kłębiło się ludzkie mrowie. W tej mieszaninie spotkać można było mieszkańców Dębu, Kolonii Agnieszka, Józefowca, Wełnowca, Załęża, Michałkowic i Siemianowic, a wśród nich kobiety i dzieci.

Trud i determinację tych ludzi utrwalił na swoich radiogramach pionier fotografii przemysłowej Max Steckel (1870-1947). Podjął on nawet ryzyko zejścia z tymi ludźmi pod ziemię, gdzie groziła utrata życia lub zdrowia, gdzie nękał wdzierający się do płuc pył węglowy, wysoka temperatura, ryzyko upadku z wysokości do starego wyrobiska, stres związany z ciągłym zagrożeniem życia. Po takich doświadczeniach w 1928 r. wydał album *Schwarze Diamanten* (*Czarne Djamenty*)⁴, na który składa się 31 fotogramów obrazujących prace górników z rejonu Wełnowca, Józefowca i Kolonii Agnieszka.

W 1936 r. w Zabrze miała miejsce premiera filmu *Schwarze Diamanten* złożonego ze 101 jego fotogramów poświęconych górnikom, którzy zmagali się z zagrożeniami naturalnymi takimi jak: metanowe, tąpnięciami, pożarami (opisanymi w powieści Jana Waśniewskiego *Ognie w pirytach*), zawałami, wodne, wybuchami pyłu węglowego, wyrzutami gazów i skał, wyrzutami metanu oraz tlenu węgla. Żywiły te spotęgowane tym bardziej występowały w dzikim urobku.

Dużego rozgłosu nabrało wydarzenie, jakie miało tam miejsce pod koniec 1933 r. Pisało o nim „Siedem Groszy” w numerze 16 z 1934 r. Otóż dwaj „rabsikowie” Teodor Maniura i Izydor Kawa terroryzowali siemianowickich hałdziarzy i za okup w żywności lub w pieniądzach udzielali zezwolenia na zbieranie węgla. Opornych bili. Przez pewien czas ci „królowie hałd”, jak ich zwano, uprawiali bezkarnie swój proceder. W końcu grupa pokrzywdzonych, uzbrojona w kije i siekiery, udała się do kryjówek I. Kawy i T. Maniury, aby wymierzyć sprawiedliwość. Odnaleziono zmasakrowane ciała zabitych. Proces przeciw głównym sprawcom eksterminacji: Spałkowi, Brołowi, Jagiele i Lubasowi, stał się sensacją dnia. Na rozprawę przybył tłum siemianowickich szybkarzy i hałdziarzy, którzy nie taili swych sympatii dla zabójców. Sąd uwzględnił niezwykłą okoliczności sprawy i wydał łagodne wyroki. Trzech oskarżonych otrzymało po 8 miesięcy, a czwarty tylko miesiąc aresztu.

Praca w biedaszybach była ciężka i odbywała się najczęściej nocą przy płonących ogniskach, w bardzo trudnych warunkach. Brakowało czystego powietrza, które zatrzymywała tzw. matówka; nierzadko temperatura sięgała 60 °C. Między innymi Walek i Maks Długajczykowie oraz Oskar Buroń z bratem Ewaldem pracowali w takich warunkach po kilka godzin, leżąc w błocie. Trzeci z braci, Józef Buroń nie uniósł ciężaru życia, jakie wiązało się z pracą na biedaszybach. Gdy mu skradziono pożyczony rower, załamał się i popełnił samobójstwo, wieszając się. Do tragedii tej przyczyniło się także podejrzenie, iż żona znalazła sobie kochanka. Józef, jako samobójca, został pochowany pod płotem na siemianowickim cmentarzu parafii św. Antoniego Padewskiego. Po latach nieopodal jego grobu spoczęła jego przedwcześnie zmarła cioteczna wnuczka, Halina Cecylia.

W siemianowickich biedaszybach zdarzały się pożary, których tak lękał się Józef Buroń. Gustaw Morcinek po zwiedzeniu okolic Huty Jerzego (dzielnicy Siemianowic Śl.), pozostawił wstrząsający literacki opis surowego krajobrazu i dzikiego kopalnictwa: „Rozciągała się przed nim ogromna przestrzeń zryta i przenicowana na zręby, przekopana głęboko, pokreślona bezładnie wyrwami i kraterami, miejscami ruda, kamienista i naga, bolesna i jakby przez Boga zapomniana. Szedł teraz ostrożnie, wymijał głębokie leje, obchodził zawaliska i jamy zdradliwe, natrafiał na czarne otwory opuszczonych już biedaszybów, patrzył na czarne wody i w dymiące kratery, nieufnie przestępował szerokie szczeliny, z których bucha żar i błękitny czad. Wiedział, że stąpa po ziemi, pod którą pali się pokład węgla, że podziemny pożar sunie ławą i obejmuje coraz większe przestrzenie i że gdzie jeszcze nie dotarł, tam człowiek opuszcza się wąską studnią na kilkadziesiąt metrów w głąb i wydziera węgiel, by móc żyć. Na horyzoncie dymiły czarne kominy, a szary dym spływał na ziemię i włókł się po niej jak mgła”⁵.

Teren biedaszybów znaczyły drewniane krzyże, upamiętniające miejsca śmierci zasypanych górników, których ciał nigdy nie wydobyto. Gustaw Morcinek tak opisał jedną z tych mogił: „[Krzyż – Z.J.] stał wysoki ciężki, zbity z drągów. Pod nim zieleniły się dwie mogiły, ogrodzone płotem. – Sztachety były zielone, a na mogiłach wdzięczyły się drobne kwiaty. W ich istnieniu na tej ponurej ziemi było coś niesamowitego. O kilkanaście kroków ział szeroki, czarny krater, a z jego głębi unosił bezszelestnie ciężki, siny, krztuszący dym. Naokoło była ogromna cisza, tylko jakiś zabłąkany świerszcz piskął leciutko między kamieniami – czasem przelatujący ptak zakwilił krótko, urywanie”⁶.

Mimo wielu niebezpieczeństw, pola węglowe zawsze były pełne ruchu. Często pojawiały się tutaj stragany z napojami i jedzeniem, krążyli handlarze wódki. Uszkodzone kilofy, łopaty, wentylatory i korby reperowano w polowych kuźnicach. Gdy nie było wypadku, a urobek był duży, chętnie żartowano i opowiadano dowcipy lub układano takie piosenki⁷:

A kiedych jo na biyda chodzył,
Tra la, tra la, la, la
Policyjoch za nos wodził tra la, tra la, la.

Jedną z plag nękających siemianowickich biedaszybkarzy była konna policja oraz ekipy zarządów m.in. kopalni „Saturn”, zajmujące się „rozstrzeliwaniem” szybów znajdujących się na terenie Sadzawek, Huty Jerzego oraz Alfreda. Pacyfikacje prowadzone, podobnie jak roboty górnicze nocą określano terminem „raci”. Zabierano wówczas urządzenia i sprzęty służące do wydobywania węgla oraz wysadzano szyby. Takie działania spotykały się z oporem górników. W sierpniu 1934 r. trzech bezrobotnych biedaszybkarzy, nie chcąc dopuścić do zniszczenia szybiku, na znak protestu spuściło się na jego dno, gdzie postanowili zginąć śmiercią głodową. Żadne perswazje nie zdołały ich skłonić do wyjścia na powierzchnię. Po 24 godzinach jeden z siemianowickich urzędników policyjnych zdecydował się zjechać na dno szybu i podjąć rozmowy, po których desperaci pozwolili się wywindować na powierzchnię. Następnie szyb wysadzono w powietrze. Wyboje i dziury powstałe po biedaszybach planowano zaszlamować przy współudziale Wspólnoty Interesów⁸.

Innym razem na terenie Zakładów Hohenlohego koło Siemianowic policja aresztowała pięciu robotników zatrud-

nionych w biedaszybach i oddała ich sędziemu śledczemu w Katowicach, ponieważ wydobywali węgiel za pomocą materiału wybuchowego, nie posiadając zezwolenia⁹. Sąd Najwyższy w Warszawie uznał początkowo dziką eksploatację węgla za wykroczenie przeciwko ustawie górniczej. Wydane w kwietniu 1935 r. orzeczenie zakwalifikowało biedaszybikarstwo, na mocy artykułu 262 kodeksu karnego, jako formę przywłaszczenia, nabywanie węgla z nielegalnego urobku uznano zaś za paserstwo, karane z artykułu 160 lub 161. Decyzje te nie pozostały bez wpływu na ograniczenie dzikiego kopalnictwa w rejonie siemianowickim. Kopalnie zaczęły już odmawiać pomocy, uważając wysadzanie szybów za akcję zbyt kosztowną, a sądy karały winnych kilkuzłotową grzywną lub jednym dniem aresztu. Jednak policja uporała się z dzikim kopalnictwem, uderzając w handlarzy i konsumentów, stosując zasadę konfiskaty nielegalnego urobku¹⁰.

Wspólna walka o przetrwanie rodziła wśród siemianowickich biedaszybikarzy więzy solidarności, przejawiające się w różnych formach, szczególnie w okresach zagrożenia życia ludzkiego. Starsi górnicy dzielili się swymi doświadczeniami, dotyczącymi sposobów prowadzenia robót górniczych. Gdy w szybiku zdarzył się wypadek i trzeba było prowadzić akcję ratowniczą, wówczas ochotnicy rzucali własną pracę, by iść na pomoc zagrożonym towarzyszom. Rodzinom poszkodowanych starano się pomóc, organizując zbiórki pieniężne lub pracę na innych szybkach.

Niebezpieczeństwo i trudy górnicy często dzielili ze swoimi najbliższymi. Kobiety i młode dziewczęta pracowały na powierzchni przy kołowrocie, a 13-14 letni chłopcy jako tzw. ciągnące skrzynek z węglem pod ziemią. Naj-

młodszy zbierali na górze odpadki węgla lub donosili jadło i napoje¹¹.

Z górnictwem kontakt miały kolejne pokolenia Długajczyków, Buroniów oraz ich krewnych i powinowatych, które dorastały w międzywojniu, a ich życie obfitowało w zdarzenia dramatyczne¹².

Po tragicznej śmierci Walka na biedaszybie, Maks, pozostający w stanie kawalerskim, sam zmagał się z trudami życia. Niemcy w 1939 r. zatrudnili go do robót kolejowych na torach. Aresztowany przez gestapo, za kontakty z powstańcami śląskimi i pomoc ich rodzinom, chwilowo bawił w katowickim więzieniu na Mysłowickiej, skąd trafił do KL Mauthausen, nazywanego przedsionkiem piekła. O widzenie z bratem w katowickim więzieniu bezskutecznie zabiegała siostra Łucja Buroń.

Niestety jej prośby zostały odrzucone, a przesłana więzienną pocztą paczka żywnościowa wróciła do nadawcy. Świeżo przygotowany „panczkraut”¹³ zapleśniał zamiast trafić na „stół” adresata. Maks był już więźniem obozu koncentracyjnego na terenie Austrii wcielonej do III Rzeszy, wzorowanym na modelowym Dachau, gdzie panowały koszmarnie warunki sanitarne i żywieniowe, a panem życia był SS-Standarterführer Franz Ziereis (1905-1945), którego 11-letni syn dla zabawy strzelał do więźniów z werandy domu komendanta.

W cenzurowanych listach obozowych do siostry nie mógł jednak pisać o tym wszystkim czego doświadczał wspólnie z innymi ofiarami. Tutaj znalazł się w towarzystwie niemieckich i austriackich homoseksualistów, komunistów oraz polskich inteligentów: artystów malarzy, rzeźbiarzy,

poetów i pisarzy, muzyków oraz tych, którzy nie chcieli się korzyć przed okupantami. Polacy stanowili 39% ogólnej liczby pensjonariuszy obozu. Wiosną 1945 r. dotarli tu ostatni więźniowie KL Auschwitz.

Zagrożony selekcją do komory gazowej lub eksperymentami na ludziach (żywieniowymi, medycznymi) „jadł chleb przeklętych czasów” i pracował m.in. w kamieniołomach nazywanych kamienną Golgotą. Z jego niewolniczej pracy korzystał także przemysł zbrojeniowy. Najgorszą z prac były kamieniołomy w Gusen, do których prowadziły schody, o których Stefan Krukowski tak we wspomnieniach pisał: większość więźniów „nie była w stanie wynieść na własnych barkach głazów po sławnych 186 stopniach, a następnie biegiem przebyć z nimi przestrzeń mniej więcej 1200 metrów. Powrotną drogę po „załadunek”, odbywali przepisowym klusem, przy czym szczególnie dawały im się we znaki „holendry”, nie trzymające się nóg drewniane chodaki. Na stopniach esesmani i kapowie poganiali, tak, że nie rzadko na skutek potknięcia się i upadku kogoś biegnącego w pierwszych szeregach, w dół toczyła się lawina ciał, nabierając coraz większego rozpędu i zbierając wciąż nowe ofiary. Dla wielu takie przejście było ostatnim. Tych którzy mieli połamane nogi, dobijali stróże porządku, jako że człowiek ze złamaną nogą nie stanowił żadnej wartości jako środek transportu”. Najtrudniejszy jednak był marsz pod górę.

Jeszcze więcej więźniów ginęło z głodu. „W kamieniołomach spośród 3000 pracowników wymarło w ciągu dwóch tygodni więcej niż połowa. Więźniowie przewracali się podczas pracy i nie mieli sił żeby powstać. W kolumnie wracających z kamieniołomu codziennie znajdowali

się ludzie tak wyczerpani i słaniający się, że trzeba ich było podtrzymywać i dowlec do obozu. Wielu musieli współtowarzysze już tylko nieść. Wychudzone ciała składano przy bloku, bo do stanu osobowego trzeba je było doliczyć; liczba musiała się zgadzać”. Tutaj Maks mógł zginąć każdego dnia, „dostać kulkę”, jak Domin Brandys, czy Augustyn Kadłubek, którzy zostali uśmierceni w KL Auschwitz. Mógł otrzymać śmiertelny cios bykowcem, wymierzony przez kapo albo być wskazanym na apelu do komory gazowej, bunkra głodowego lub do karnej kompanii, z której już się nie wracało.

Głód, zimno, wszechogarniający strach i tęsknota przez wszystkie obozowe lata towarzyszyły Maksowi dniem i nocą. Pisał do siostry do Siemianowic ale nie mogło tam być słów prawdy, choćby o doktorze Aribercie Heimie, który wstrzykiwał zabójcze substancje w serce, usuwał organa ludzkie bez narkozy i mierzył czas, jaki upływał od zabiegu do zgonu ofiary, głuchy na jej przeraźliwe krzyki. Pozbawił on życia w ten sposób kilkaset osób. Mówiono o nim nie inaczej, jak „doktor Śmierć”.

Wreszcie 5 V 1945 r. uciekli ostatni SS-mani i o godzinie 17.00 na teren obozu wkroczyły wojska amerykańskie. Maks „pokonał śmierć” i doczekał dnia gdy więźniowie na kolczastym ogrodzeniu powiesili ciało swojego oprawcy Franza Ziereisa. Uwolniony przez wojska alianckie, pod opieką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w stanie skrajnego wycieńczenia trafił do Anglii, gdzie zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach.

Przypisy:

¹ J. Żółtaszek: *Dziki kopalnictwo węgla na Górnym Śląsku*. Katowice 1936, s. 8, 15.

² Z. Janeczek: *Ziemia znaczone krzyżami*. „*Goniec Górnos Śląski*” Nr 21 z 22-28 V 1992.

³ „Gazeta Siemianowicka” nr 47 z 14 VI 1934: „Na dzikich odkrywkach obok huty Szellera w Siemianowicach zasypany został bezrobotny Rudolf Koniar z Małej Dąbrówki. Mimo energicznej akcji ratunkowej nie można go było wydobyć, ponadto ziemia groziła dalszym obsunięciem. Wobec tego prokuratura wydała zakaz dalszych prac. Rodzina zasypanego zwróciła się do urzędu parafialnego z prośbą o przeprowadzenie symbolicznego pogrzebu, na który przybyły rzesze bezrobotnych i znajomych zasypanego, a wikary urzędu parafialnego wygłosił mowę żałobną”; tamże, nr 67 z 23 VIII 1934: „21-letni Paweł Chruszcz 18 VIII 1934 r. wpadł, w pobliżu kopalni „Ficinus”, do jednego z biedaszybów i spalił się żywcem. Akcja poszukiwania zwłok nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Biedaszyby na tym terenie od dłuższego już czasu paliły się. Wezwana straż pożarna z powodu ognia i ulatniających się kłębow dymu, mimo użycia masek gazowych, z aparatami tlenowymi nie mogła dotrzeć na dno głębokiego na 10 m szybiku. Zwłok nie można było wydobyć z powodu 400 °C gorąca, w którym ofiara spaliła się w ciągu kilku minut”; tamże nr 68 z 26 VIII 1934: „Na mogile Pawła Chruszcza, którą usypali bezrobotni koledzy zaginionego stanął prosty drewniany krzyż, umajony zieleniem. Była to już trzecia mogiła, która powstała na terenie biedaszybów pod Siemianowicami w przeciągu 15 miesięcy. Do innego szybu [22 m głębokiego] wpadł [Oskar – Z.J.] Buroń, którego udało się jednak ocalić”; tamże: nr 28 z 4 IV 1935: „odnotowano kolejny śmiertelny wypadek na biedaszybach”; tamże, nr 71 z 1 IX 1935: „Bezrobotny Wiktor Seget z ulicy Sobieskiego 22, lat 34, udał się około 3 rano z kolegami na teren zasypanych koło kolonii Alfred biedaszybów, aby jeden z tych biedaszybów odkryć. Szyby te mają niejednokrotnie do 20 metrów głębokości. Seget spuścił się na linie na głębokość 6 metrów i zemdlał z powodu wydobywających się trujących gazów (osierocił żonę i dwójkę dzieci”; tamże, nr 76 z 19 IX 1935: „Udało się ocalić zasypanego węglem 20-letniego Wojciecha Szymocha”; tamże, nr 79 z 29 IX 1935: „Józef Pilarski, lat 45 z ulicy Kopernika 6, [...] zerwała się linka i runął w przepaść około 30 m. W efekcie nastąpiło złamanie kręgosłupa, lewej nogi i zgruchotanie krzyży”; tamże, nr 90 z 7 XI 1935: „[...] obok kolonii Alfreda na dzikich odkrywkach przysypany, na skutek oberwania ziemi, został 34-letni Paweł Klimczyk, zamieszkały na Wełnowcu przy ulicy Szpitalnej 4”; tamże, nr 93 z 17 XI 1935: „O godzinie 18 wpadł do dzikich szybów w obrębie hałd Ernest Kloska z ulicy Sobie-

skiego 5”; tamże, nr 104 z 25 XII 1935: „Bezrobotni zbierający odpadki na hałdach pod Siemianowicami dokonali w ubiegły czwartek rano niesamowitego odkrycia. Otworzywszy drewnianą budkę, która dawniej służyła strażnikowi, zobaczyli starszego mężczyznę, przy bliższych oględzinach okazało się, że człowiek nie żyje.

Zawiadomiono policję, która wszczęła dochodzenie [...] Okazało się, że zmarłym jest 53-letni mężczyzna Andrzej Stanek, dawniej zamieszkały w Siemianowicach przy ulicy Barbary 8, ostatnio bezdomny, spędzający noce w biedaszybach i na hałdach. Okazało się też iż Stanek uległ w nocy zatruciu gazami ułatwiający się z hałdy. Zwłoki nieszczęśliwego przewieziono do szpitala hutniczego w Siemianowicach”; tamże, nr 1 z I 1936: „10 I uszli spaleniu w biedszybie na terenie Siemianowic-Wełnowca bezrobotni Rudolf Gregor, Paweł Grzeniec i Józef Ciupka, wszyscy z Chorzowa. Wyratowano ich i odstawiono do lecznicy”; tamże, nr 6 z 19 I 1936: „13 I 1936 Ignacy Wójcik z Bańkowa przyjechał na teren biedaszybów koło huty Szelera pod Siemianowicami, po węgiel, przy czym koń jego wpadł do jednego z licznych szybków. Konia mimo usilnych starań straży pożarnej nie można było wydostać na powierzchnię”; tamże, nr 7 z 23 I 1936: „Na dzikich odkrywkach w Siemianowicach (na głębokości 11 m) został otruty gazami Józef Bula z Małej Dąbrówki”; tamże, nr 11 z 6 II 1936: „uległ zaczadzeniu 3 III na hałdach Józef Ziółkowski z Warszawy (odratowany w szpitalu bonifratrów w Bogucicach)”. W maju 1934 r. zasypani w siemianowickim biedaszybie zginęli: Franciszek Dymasz, Karol Kunst, Edward Radzikowski. W sierpniu 1935 r. udusił się gazami na hałdzie Stefan Gruszka z ulicy Kopernika 6.

⁴ *Schwarze Diamanten. Kunstblätter mit Begleittext vom Oberschlesischen Steinkohlenbergbau*. Kattowitz 1928 – album; edycja polskojęzyczna: *Czarne diamenty*. Katowice 1929.

⁵ M. Pilch: *Dwie wizyty Gustawa Morcinka w Hucie Jerzego w latach 1936 i 1937*. „Zaranie Śląskie” 1990, z. 1-2, s. 73-78.

⁶ Tamże.

⁷ J. Ziembka: *Biedaszyby Górnośląskie*. Katowice 1967, s. 45.

⁸ „Gazeta Siemianowicka” nr 61 z 2 VIII 1934, nr 28 z 4 IV 1935; Relacja Łucji Buroń i jej córki Renaty.

⁹ „Gazeta Siemianowicka” nr 94 z 25 XII 1934.

¹⁰ „Gazeta Siemianowicka” nr 35 z 28 IV 1935.

¹¹ Por. S. Janicki: *10 lat przynależności Śląska do Rzeczypospolitej*. Mysłowice 1932; V. Kauder: *Das Deutschtum in der Wojewodschaft Schlesien*. Plauen 1937. Teil. 1, s. 40; K. Müller: *Die Notschachte Ostoberschlesiens*. „Ostraum-Berichte” 1936, h. 3-4; J. Jaros: *Historia górnictwa węglowego w Zagłębiu Górnośląskim w latach 1914-1945*. Katowice 1969.

¹² Ika, córka Antoni Buroń, siostra Oskara, zmarła w szpitalu po zabiegu przerywania ciąży osierocając dwójkę dzieci. Do końca oczekiwała pożegnania z synem, którego jako dziecko, zatrzymał portier. Rodzina po zgonie Iki wychodząc ze szpitala odkryła przyczynę jego nieobecności i doprowadziła do zwłok matki. Córka Iki była Rita (kuzynka Reni), młodo zmarła na raka, także osierociła małe dzieci. W grobie Iki po wojnie, jej siostra Łucja Brandysowa pochowała dwóch młodych górników (ok. 20-letnich), którzy zginęli na KWK „Siemianowice”, a byli u niej na stacji. Podczas ucieczki załogi przed trującymi gazami odłączyli się od grupy i zgubili w ciemnościach. Ratownicy obu odszukali martwych. Jeden leżał na spągu, a drugi nad nim klęczał.

¹³ Panczkraut po śląsku, to inaczej ciapkapusta – danie wywodzące się z kuchni południowo-zachodniej Polski. Ciapkapusta składa się z ugotowanych ziemniaków, kiszonej kapusty, skwarek, odrobiny rozgniecionego czosnku oraz boczku lub kiełbasy.

POŻENIENI

Helena Majchrowicz

Kim jestem

Był rok 1955. Z Warszawy, przez Puszcę Kozienicką, nasycona językiem Jana z Czarnolasu wjeżdżałam w płonący hutami, śpiewający hukiem maszyn Śląsk. Skrzypiący, rozgadany twardym głośnym językiem tramwaj, mecz hokejowy w Katowicach, główna ulica w Chorzowie Batorym z ceglanymi familokami, śliczne dziewczyny i najprzystojniejszy mój chłopak.

Pięć lat później uczyli mnie gwary śląskiej uczniowie w Chorzowie, Gliwicach, a od roku 1965 w siemianowickich Szkołach Podstawowych: nr 4, nr 7, i nr 21. Praca w Poradni Wychowawczo-Zawodowej zmusiła mnie do korzystania z koleżeńskich „korepetycji”. Podczas przeprowadzanych wywiadów środowiskowych w Lipinach i Chropaczowie odnajdowałam ślady języka Kochanowskiego. Z uwagą słuchałam opowiadań mieszkanki Radlina Pani Elfridy Piekorzowej, mówiła piękną gwarą. Kiedy uczyła mnie piec kołocz z makiem, to zapamiętałam bardziej jej poplątane życiowe losy. Nauczyłam się rozumieć słowa, śpiewność języka jest poza moją możliwością, ale moja warszawska rodzina zauważała zmianę w intonacji.

Początek pracy w Siemianowicach był trudny. Przyjazne, serdeczne otoczenie sprawiło, że po trzech latach już nie

pisałam o „Siemianowicach”, ale o moim mieście. Znalazłam tu przyjaciół, ludzi ciekawych, otwartych, szczerych, takich do tańca i do różańca. Szczególnie cenne były przyjacielskie spotkania z osobami które nazywały siebie „pniokami”, dzięki nim zrozumiałam śląską skomplikowaną przeszłość, historię. Spotkania urodzinowe i imieninowe ubarwiały naszą szarą codzienność, dawały poczucie wspólnoty, bezpieczeństwa, nasza różnorodność poglądów była inspirująca, ubogacała.

Kiedyś, w czasie towarzyskiego spotkania pan Stefan opowiedział o swojej miłości dla której opuścił wieś pod Nowym Targiem i stał się górnikiem. To właśnie Stefan przytulając swoją Gabrysię, stanowczym tonem ogłosił, że chce legnąć w ziemi pod którą pracuje. Jego słowa zainspirowały mnie do pobawienia się słowami, sytuacjami. Czy mi się udało?

Wiem, że mój język, choć konsultowany z przyjaciółkami nie jest zadowalający, ale tyle potrafię. A swoją drogą zastanawiam się czy po sześćdziesięciu pięciu latach życia na Śląsku jestem „ptokiem” czy „krzokiem”? Wiem, że na „pnioka” nie kwalifikuję się.

Moje nauczycielskie „przygody” to temat nad którym ciągle pracuję, im jestem bliżej końca, to ciągle jestem na początku.

Relacje tworzone z uczniami, rodzicami i opiekunami uczniów, także środowiskiem są twórcze, kształtujące i bardzo trudne do krótkiego ujęcia w opisie. W perspektywie czasu dają ciekawy obraz własnej osoby, pokazują sukcesy i potknięcia. Chciałoby się krzyknąć – pozwólcie mi żyć jeszcze raz z zachowaniem pamięci mojej refleksji, pokażę,

że można inaczej. Naprawić błędów nie będę mogła, a skończyć opowieść o sobie „Siłaczce” mam nadzieję.

Gorolka

warto usiąść przy kielichu
lub przy kuflu piwa
pożartować pogawędzić
gdy wnucząt przybywa

Pośmiejmy się razem

Nie śnią mi się Wawele
i nie śnią Powązki,
pragnę legnąć w tej ziemi,
bom jo gorol śląski.

Na tańce

Szła zielonym polem,
mówiła z Karolem,
jo pod gołębnikiem
godałach z Karlikiem.
dziołszki i chłopaki
miłości wybrańce,
wieczór zakończyli
śpiewami i tańcem.

Jedź na narty

Pod Białowieżą tkwią jej korzenie,
jego w Hajdukach początek drzemie,
złączyły narty, beskidzki dzień,
niebo z gwiazdami, księżycą cień,
razem wychowują młode pokolenie.

Winien Giewont

Przyjechał pod Giewont
w pióropuszu białym,
pokochała Zigusia
mocno, sercem całym.
po latach efektem
górsko-śląskiej spółki
są liczne wnuczeta
co przynoszą na śniadanie
chrupkie zymły i chrupiące bułki.

Są razem

Basia z Siemianowic,
Jan spod Biłgoraja,
on ją adoruje,
ona jemu pszaja.
choć on stary dziadek,
a ona matrona,
byli sąsiadami,
teraz mąż i żona.

Oj te ślipka!

Chłopak był z Radomia,
dziołcha zaś z Giszowca,
spojrzał w czorne ślipka,
już nie była obca.
w noc się powadzili,
a to było w Szczyrku,
on chciał kochać się na łóżku,
a ona na wyrku.

noc skończyła się zabawą,
walką rąk i nóżek,
zgadnij kto chciał poduszkę,
kto wołał zogówek?

Podwójni

Pociągami z Chorzowa
mknę pod Ciechocinek,
tam mówią do mnie – chłopcze,
w Chorzowie zaś – synek
w szkole dla kolegów
śmieszna moja gadka,
bo w Chorzowie mom starzyka,
w Ciechocinku – dziadka.
w niedzielę po obiedzie,
jak w zwyczaju bywa,
starzyk opróżnia halbę,
dziadek – kufel piwa.
wargi ich się pokryły
piwną, białą pianką,
jeden zagryzał krupniokiem,
drugi zaś kaszanką.
a kiedy zabrakło
piwnej, białej piany,
starzyk był blank ożarty,
dziadek całkiem pijany.
skończyli politycznie
pod stołem ukryci,
wyśpiewując pełną gębą:
ja mam Stalina w dupie,
jo Hitlera w rzici.

spod Ciechocinka wracam
autem do Chorzowa,
ze mną jedzie piękna żona,
na śląskość gotowa.

Rodzinne kłopoty

W rodzinie Nowaków
wynikły kłopoty
baba kupiła spodnie,
a chop chcioł galoty.
brała marynarkę
by miał cały pakiet,
on wycudował binder
i do niego szakiet.
tak se pogodali
i porozmawiali,
kupili ćwiarteczkę
i do dom wracali.

Sąsiedzi

Wyszliśmy z sąsiadem
o tym samym czasie,
wynieść do śmietnika śmiecie,
do hasioka – hasie.
z okna nasze baby
patrzą na nas krzywo,
zmówiliśmy się z sąsiadem
poszliśmy na piwo.

Do księdza czy do farorza?

Oblikoł se szakiet
i spoziroł w żagło
szykował sie do farorza
bo mu spokój skradło
dziołszki gibkie ciało
co się w bluzce skryło
a w tym samym czasie
w lustrze się mizdrzyło...
dla niego był kolczyk
dla niego uśmiechy
i zapach różany
zapowiedź uciechy
przysięgę miłości
składają czym prędzej
...on przed farorzem
ona przed księdzem
a że ksiądz i farorz
to jedna osoba
przyjął ich przysięgę
zgodnie z wolą Boga

Dzień Babci

Mom jo kuzynka nie od dzisiaj,
jo jestem Gabi, ona Gabrysia,
idziemy czasem na pogwarki,
ona do babci, a jo do starki.
Jo niesa w tasi dla starki laćki,
ona w torebce kapcie dla babci.
dla mnie u starki kołoc gotowy,
a na nią czeka placek drożdżowy

jej babcia poda kubek herbaty,
mnie wleje tyju gorcek brzuchaty.
Babcie i Starki!
kochomy Was!
razem śpiewamy....
Żyjcie sto lat!!!

Uciekli

Francik wybroł sie na baja.
Franek na wagary,
Francik skrętem sie nabakoł,
Franek skręta palił.
kiej zza krzoka blachoż wyszoł
rzucili palenie,
mocno bajtłom natar ucha,
opróżnił kieszenie.
do chałupy zaprowadziuł,
gdzie odbyli kary:
Frankowi sprawili lanie,
Francikowi szmary.

Jest wyjście

Do sąsiadów naprzeciwko
starka loto na pogwarki
a dziadek na piwko

Uroczystość rodzinna

czasem on się wykłóci,
ona z nim się wadzi,
choć połowę wieku

być ze sobą radzi.
ona bez tydzień warzy
nudle i rolady,
on prawie codziennie
jajecznice smaży.
dom radością kipi,
są tego powody,
starka mo złote wesele,
dziadek – złote gody.
zjechała rodzina –
jego ze Skierniewic,
ciotki onej miały bliżej,
bo ze Świętochłowic.
sto lat głośno grzmiało,
pełnych piersi siłą,
by sąsiedzi usłyszeli,
że wesoło było
bawią się do rana
rodzinne czelodki,
gwarzą wuje ze Skierniewic
i plotkują ciotki.

Polska to nie wieża Babel
biblijnej nie nosi kary
pogadamy se jak ludzie
z szacunkiem dla każdej gwary.

OPOWIEŚCI O GEORGHUTTE

I MIESZKAŃCACH

Stefan Maruszczyk

Na chwila wroca na Georgshitta i ludzi keży tam miyszkali. Pytom som siebie, kaj jest nasza Georgshitta, kaj ci ludzie, kaj te domy, łaki ukwiecone, stawy nad kerymi lotali ptoki. Śmijch, zabawa radość dzieci, godki ludzi, stukot kół wąskotorówki. Kaj syryna z Ficynusu codziynn timerano wołała wstoncie chopy bo czas iść do roboty.

Co dziyń coś się dzioło, gwar boł nałokoło, chopcy, dziołchy szukać grali. Chopy na łące w karty grali, baby sztyjc łocym klachali. Starziki przy chlywikach łosprowiali ło królikach, bajtłom bojki łosprowiali, z fajki pocągali. A jak prziszła sobota koždy wzion sie za robota. Mietfły z chlywa wyciongali i plac zamiatali. Po połedniu sobcyk piyli, a i piwkym niy gardzyli. Bajtłe piyli lemoniada, baby dymne piwo łod Zająca. Koždy tydzinyń ktoś bioł wieprzka, na wiecor bajtłe poecie gipko bo dzisioj Gasz dzieli krupnioka. Fajno boła tamta Georgshitta, niy to miasto niy to wieś, wkoło łaki, pola i Ficynus gruba. Wistel tam stolarnia swoja mioł. Boła szkoła, piekarnioki. Szmacioż Furich, z małom furkom wołoł „szmaty, szmaty zbiyrom za stare szmaty, górcie nowe dowom”, dzieci co za niym lecieli piscołki dostali. Dziynnie coś się dzioło, na szczelnicy strzylanie. Przy cholec chałzie (drewniany dom przy Teresce) Ritał na charmoszce gryfnie

groł. A i strachu boło wiela jak Maj jechoł z lajchyn wagom (karawan pogrzebowy) Kęsik prosto z pola na koniu do gospody pod som szynkwias wjechoł Szpałek.

Nykedy Ida piechty na ta tyntnionco życiym kędyś krajina, a tu żodnego juś nyma. Ftedy łowdy kaj byli domy, szkoła i stare przidrożne topole, wyłażą z ziymi resztki fundamyn-tów. Tam kaj kędyś boła gana, rosnom krzoki i badyloki.

Mogbych pisać jesce wiela, ale chcą jak jo przeżywom to na jawie, żebyście w swych myślach chodzyli i przeżywali to co żeście przeżyli jak tam żeście miyszkali. Pora słów ło ludziach keży tam miyszkali. Przipomna niekerych z nich po nazwisku Holc haus Hyniek Nikisz. Konopnicka Kra-juszek, Wistel. Wargacki, Antek Bratek. Sklep Zająć. Dom-ki przy szkole Hanys i Magda Gasz. Gwoźdź. Stenslickiego Erwin Tomala Starzik Ritau. Rydla M.R. Gizela Kandzia. Cila Stogniyw. Srokowiec Kosmala Pradelok Szwajnoch. Antek Bratek Srokowiec. Grabowski Kawa. Zająć Wistel Krajuszek. Krawieczek.

SIEMIANOWICKIE ROJBRY

czyli – gra we fyniole

Stefan Maruszczyk

Gra we fyniole prawdopodobnie została do nas sprowadzona po wojnie, przywieźli ją nasi łożcowie i krewni, kerzy czynsto będąc jeńcami wojennymi, z nudów wymyślali różne gry. A do tej gry nie trza było nic, ino pora fynioli i konsek muru.

W latach szkoły podstawowej, po lekcjach to właśnie oni uczyli nas podstaw gry we fyniki. Każdy bajtel miał starzików, kerzy mieli różne stare, już niebędące w obiegu monety. Początkowo niechętnie nam je dowali – „synek, to je strzybło, nie dowej tego żodnymu!” Ale zaczęła się nauka, jo w 2 klasie, każdy kto ino miał jakieś monety tyn musiał umieć grać we fyniole. I tak jeden drugiego ucoł, aż grała cała okolica. Gra nas tak wciongała, że grali my do późnego wieczora. Jak się po tym przyszło do domu – corne galoty, zmazane pychole... Jak łożciec boł na popołudniu we robocie to ino Mama powrzesała, mówiąc „żeby mi to boł łostani roz!” Z łożcym to niy boł godki: zaraz lyjty...

Na Kapicy w barakach miyszkali wulce. Jak my te fyniole grali to przilażili do nas i wyciongali od niekierych bajtli za pora złotych nojlepsze srebole: 2 i 10 Mk z Wilhelmem czy 5-markowe Hindenburgi, Piłsudskie „żagle” i austriackie Marie Teresy. Tak co dziyń lażili i wyciongali łód naiwnych

co kery miał lepszego. Kiedyś prziszoł ku nom somsiod, jak to zoboczył, dostał nerwów i zacon wrzeszczyć – „wypierdzielejcie gorole z tego placu!”. I wydować by się mogło, że na tym się skończyło ale somsiada Juela, za to że się na nami ujon, te gorole potym pobiyli. We nieszczyńściu szczyńście, że boło to na tramwajowym przystanku na Hutniczyj. Nasze chopy to widziały i wzięniłi odwet. Tak im napierdzielili, że od tyj pory z daleka łomijali nasz plac i tyn przystanek na Hutniczyj tyż.

Ale nie spędzali my colkigo czasu na grze we fyniole, ło nie... Byli jesce inksze zabawy takie jak gra w klipa – coś podobnego do palanta, gra w chowanego, „raps straciół kapelusz”, gra szmaciankom „nasz plac na wasz plac”, Ritter Rojber czyli rycerze i rozbójniki. Zimy były srogie, zbiyrali my śniyg z colkiego placu i budowali igloo. Druga połowa placu to boło lodowisko – burty ze sniygu, kiblami loli my woda ze siyni z ausgusa. Rano szlynzagi, a fto niy miał to holcoki do kerych wbijało się ślizgi z grubego drutu. Ale jesce wroca do jesiyńi. Koždy bajtel kombinowoł puszka i naokoło robiło się dziurki gwoździami. Jak było gotowe, zapinało się drot jako uchwyt, do tyj puszki wciskało się suche liście ze kasztanów, ubijało i zapolało na dnie. Potym krencili my na łokrągło i tak z tymi kadzidkami lotali po placu. A starki ino z łokien wrzeszczeli: „wy najduchy, przestońcie kopcić ze tymi kadzidkami!” Jak nastoła pora deszczowo, we siyni na Floriana 24 grali my w karty na zapalki w chlusta albo psa (fto przegroł, wszyscy na niego szczekali). Przed Wszystkimi Świętymi brali my bania, wyźli w niy łocy i zymby, do środka rajn świycka, zamocowano tak żeby się nie kipla. Tak przigotowano bania łowiążali my płachtom, wsadzali na długo na mietła i straszyl babki kere robili na piyrszym sztoku wyszkrobki.

Gra karna, strzylanie z klucza, telefon z pudełka po paście do butów i łożmiu metrów miedzianego drutu, staro felga z koła i gable z druta. Na placu zawsze było kupa piór, robili my z nich pióropusze, z desek siekierki – potym mieli my pora dni indiańskich wrzasków i tańców. Wiązanie drutem dźwi somsiadom co miyszkali naprzeciw i klupanie – ale my się śmioli my się jak szarpali się z dźwiami! Na parterze do romów we małych łokiynkach wciskało się pinezka, konsek cornyj nici, na dole nektarynka i drugo nič – pociongało się za nici, nektarynka wyndrowała po murze i klupała we łokna somsiadom. Dyć godom – siemianowickie rojbry...

Gra we fyniole

Gra w fyniole było to łodbijanie ło mur starymi fyniolami (piniondzmi), tak by wpadały łone do ducy (dołka).

Najczyńści grało sie we dwóch ale i tyż we wiyńcyj chopcow. Grało sie ło srebole: (tzw. monety z wieżom 5 DM, 2 DM z Hindenburgiem, ło 10 zł Piłsunie, 5 zł baba z kłosym – krótko godajonc – srebrne piniondze z lat przedwojennych kajś łod 1900 roku i inne tyż.

Ale richtig grało sie tyż innymi fyniolami np. angelskimi „one penny”, francuskimi „francdwójami”, szwedzkimi koronami i tyż wyngierskimi forintami oraz mesingowymi pinondzmi z dziurami kere przy łotbijaniu leciały najdali do ducy. Jednym słowym fto tam co miół w kapsi.

Fyniole łodbite ło mur slatywały na zol (ziymia) w różnych łodległościach łod siebie... i te łodległości fyniolow łod siebie, mierzło sie palcami – za te roztomajte łod siebie odległości boła różno punktacjo, po prowdzie w każdy dzielnicy, placu i einfarcie trocha ynno... Tak jak ta naszo Ślonska Godka: w każdym mieście inno!

Pora przykładów (beiszpilow miar palcow miyndzy fyniolami): szpan, kajtow, bojtow, berkow, daumow, różnych rodzajów kup, princow oraz różnych konstelacji fyniolów w czasie gry:

– *duca* czyli dołek miał około 10 cm średnicy, była łód 3 do 5 m łód muru,

– *princ* – gracz trzymał mały palec do wydmuchania monety przez dugo gracza. Jak się wydmuchało, gracz dostawał punkty i monetę „one penny”. Tużej zawsze przy wydmuchiowaniu miało się corno gymba i galoty. To były uroki tej gry, czynsto trza się było schylać.

– *szpana* – dostawało się 60-100 punktów oraz 1 fynig,

– *bojt* — za bojt dostawało się 2 fynigi mosiężne,

– *kajt*— za kajt dostawało się 5 fynigów mosiężnych,

– *berek* — za berek dostawało się 10 fynigów,

– *daum* (kciuk) albo czyńściowa kupa — monety nałożone na siebie poza ducą. Za kupa dostawało się dwa srebole z Hindenburgiem.

Fyniole kere leżały w ducy kasowoł gracz. Duca kasowała wszystko! Wszystkie fyniole.

Jak już było wspomniane na każdym placu i dzielnicy gra w pinkole miała różne zasady i odcienie punktacji oraz nazw konstelacji monet. Tak jak Ślonsko Godka.

WIGILIJNA OPOWIEŚĆ

Stefan Maruszczyk

Do nojlepszych świąt noleżało Boże Narodzynie. Dwa tydzie przed śwyntami kupowało sie piykno żywo choinka, zanosilo sie jom do pywnicy abo na góra (strych) kaj stoła aż na jedyn dziyń przed wilijom. Prziniosło sie jom do dom, dopasowało sztynder, postawioło sie ta choinka we miyjscu kaj mioła być i razym ze łojcym wszystkie domowniki strojli ta choinka bombonami we kolorowych papiorach, kere pora dni przed Śwyntami robiyli my we szkole. Tak wysztigłowano choinka stoła do wilije. We wilijo rano mama pod ta choinka koźdymu położyła jakoś mało paczuska. Jo, jako nojstarszy wczas rano szołech do Świtule – piekorza ze ulicy Waryńskiego – melać ryncznie mak na makowki, po drodze kupiołżech żymły do tych makowek i chleby. Jak żech prziszol do dom to łojciec końcoł łoprawiać karp. Gowy ze tych karpów ze pasternakym, konopiami (specjalnie potucone we moździerzu) i piernikiem postawioł w gorku z wodom na piec z małym łogniym, boła to tak zwano mocka. Jo żech ze pywnicy przynios beczki, kiszono kapusta (kiedyś koźdy kisioł) i kartofle, modszy brat wongle ze chlewika i drzewo, bo we Śwynta już sie tego niy robioło. Mama po przigotowaniu wsziskich specyjałów, zaczęła to stawiać na piecu: kapusta, mocka, ryba i kompot ze suszonych owoców. We całym domie była wielko wonność. Jak już sie wszystko postawioło na stoł zastawiony stołkami

i ławkom, bo nos boło sześ dzieci, mama i łojciec, siedli z nami do wieczerzy, pożyczali my pacież, przed tym łojciec zapolył świycki na choince, podzielili sie opłatkiym i dali my sie do jodła. Mama co chwilka godała: jydzie po malutku coby sie nie zadusić ościom ze ryby. Po wieczerzy każdy łotwar swoja paczka, choć boły te paczki bardzo skromne, ale uciechy boło tela, że teroz niy jedne dziecko niy cieszy sie tak ze komputera, kery dostanie pod choinka, potym każdy cosić szkubnoł ze choinki bombona, orzech abo jabko. Za łoknami sypoł śniyg, szyby byli pomalowane ze mrozu, a we prawym rogu izby szczylali ze żeleźnioka fonki. Łojciec zgasiół światło i zaczli my śpiywać kolyndy, po tych kolyndach zaczli chodzić do siebie somsiady ze życzyniami, siadli wszyscy razym i śpiywali a potym berali bela jakie rzeczy ło starych czasach. My, karlusy i dziołszki razym ło 23.30 szli do kościoła na pastyrka.

ZIEMIA CZARNO

Marta Morawiec

Czarne serce w ziemi bije,
gdzie dym ciągle żyje.
Mowa twarda, lecz serdeczna,
Śląska dusza – prosta, wieczna.
Węgiel śpiewa pod stopami,
huta dymi wspomnieniami.
Tu wszędzie serca ze stali,
to są ludzie, co przetrwali.
Babcia w fartuchu – mistrzyni świata,
Zrobi kluski śląskie, rolady i dobra sałata.
Dzieci ganiają po podwórku,
a pies im warczy gdzieś na sznurku.
Choć się czasy pozmieniały,
komputery, świat – nie mały,
to Ślązacy wciąż są tacy:
prości, dumni, twardzi i godni pracy.
Śląsk nie umiera – on się przemienia,
Z pyłu powstaje wciąż bez wytchnienia.

U NOS TRADYCJI WIELA

Agnieszka Opara

U nos, w rodzinnej chałpie tradycji było wiela,
Na przykład rosół i rolada co niedziela,
A do rolady kluski tarte abo biołe,
No i modro kapusta co woniała z daleka!

Rosół tys niy byle jaki,
Bo nudle matka sama kulała i do gara sypała.
Kompot tys matka warzoła,
Z truskawek, wiśni abo co tam dobrego miała.

To były czasy co w familoku my miyszkali,
Niy daleko działek my mieli, kaj ojciec gołymbie czimoł.
Zaś ojciec, jasno sprawa na grubie robioł,
Kaj „Barbórka” zawsze fest mocno świyntowali!

W doma tys nos dużo było, ale za to było blank wesoło!
Bajtłe po placu lotały, póki matka na łobiod niy zawołała.
Zaś kiedy było chłodno i lecioł dysc,
Wszyscy siedzieli w doma i łosprawiali przy bombonach.

Godka tys momy fajno i gryfno,
Kaj niy jedyn po słownikach szukoł.
Ale tak to u nos jest, my się lubiymy pogodać fest!

Dlatego musimy dbać o to co nasze jest,
O naszo godka, tradycjo i zwyczaje,
Aby wszystko kajś tam niy podziało się!

Tradycjo to ważno rzec, cza ją pielęgnować,
Bo to nasz dorobek jest!

ŻAL ZA ZAPACHEM DYMU

Norbert Rycman

Usiadłeś naprzeciwko mnie w wagonie londyńskiego metra
Nie byłeś nigdy moim kolegą, przyjacielem
ani tym bardziej moim bratem
lecz, instynktownie poznałem, że jesteś moim rodakiem.

Całe dni spędzane w pracy
podkrążone oczy z niewyspania
wiara w lepsze jutro i wysoki kurs funta
– oto co mamy ze sobą wspólnego
– i jeszcze jedno – abyśmy nigdy o tym nie zapomnieli
– Polskę
– Śląsk?
– Siemianowice Śląskie, dzielnica Michałkowice?

Londyn, 2005-2007

30 LAT MUZEUM MIEJSKIEGO

czyli Śląskie Siemianowice – na weekend i całe życie...

dh. Irena Skwara

Pole, pole, Dworskie Pole gdzie nasz Spichlerz kiedyś stał..
Jeśli było tu ściernisko, nad nim Siemion pieczę miał..
Od lat 30-tu: z przodu Muzeum, z tyłu — też...

A w środku – zwiedzać możesz, ile tylko chcesz: pamiątki historyczne, czy etnograficzne – z terenu miasta Siemianowice, co to są, jak wiemy, na weekend i całe życie. Po spadkobiercy dawnego Dwora, gdzie pewnie klepisko było w PRL-u, mieszkańcy mają w Muzeum możliwość obejrzenia eksponatów i widowisk wielu...

Od lat kilku – smakowite Podwieczorki z Radiem Katowice – cieszą się dużym powodzeniem... Wygląda na to, że mieszkańcy Grodu Siemiona liczyć mogą wciąż na Jego opiekuńcze ramiona... Niedawno petycję przyjął Pan Dyrektor, by Seniorom wizyty w Muzeum ułatwić. Trzymajmy więc kciuki, by – nie nasze wnuki, lecz ich babcie i dziadkowie – mieli szansę podjeżdżać windą i – podwieczorki – w ciekawym towarzystwie – zjadać tam na zdrowie :-)

P.S. Po jednej z muzealnych wystaw przed laty – w relacji Dziennika Zachodniego rozpoznałam na zdjęciu... moją ś.p. Mamę – w harcerskim mundurze... Ponieważ zdjęcie nie było mi znane wrażenie zrobiło – naprawdę duże...

Miałam okazję na łamach prasy – opowiedzieć rodzinną historię siemianowickiej harcerki: spotkanie – wspomnień tych było wyjątkowo warte...



WE EMERYCKIM SZRANKU

Irena Skwara

No, i – leża: niy zmógł mie wirus, ani żodyn... wiarus... ino – spondyloza to – sprzed lot wielu – ortopedyczno diagnoza... Leża wiync – jak kłoda – i żodyn mi nawet herbaty niy poda, bo mynża we doma niy ma...

Chciałach we tyj samotności come umyć łokna – i ze „szmot” (jak godo chop) – przeglononć szranki do dna, przimierzyć i – na jesynnno-zimowo półka przełożyć... Jużech się widziała, jak we tych szmatach buszują :-)... A terozki – leża i – pleców niy czują :-(... jak niy ruszom się wcale...

We inkszym razie – boleść niy do zniesiynio: dobrze, co niy widzisz, jak pozycja ze horyzontalny, na – wertykalno zmiyniom...

A „buszujonco we szmatach” blank fajnie się słucho, ale terozki i tak jes „po ptokach”... Szczynście, co... „niy zajonc” – ta cołko zaplanowano robota :-)...

Można we końcu i dobrze, co tych szmot niy przimierzola: łobejrzałabych ze zgrozom, jako ze mie „fest kobita”... Fto wiy, można ze wrażynio... padłabych, jak sznita :-)?

Na koniec – serdecznie Cie pozdrawiajonec, życzliwie przypominom mondre ślonskie przysłowie:

ROBOTA NIY HAZOK – NIY UCIECE :-)!!!



SREBRNY JUBILEUSZ

czyli – 25-lecie Harcerskiego Instruktorskiego Kręgu Seniora „Czarne Diamenty” 2000-2025

Irena Skwara

Śpiewaliśmy kiedyś: Ja mam 20 lat, ty masz 20 lat – przed nami – siódme niebo... Po kolejnych 5 latach – srebrem pokryci, a Krąg nasz ciągle do szczęścia potrzebny: w nim – przyjaciół full.

Gdy na zbiórkę dotrzesz... wśród nich mija niemal każdy ból...

20-latki? 20-latki – to ja i ty... Niektórym tyle do 100-ki brakuje :-)...

25-latki -też... jako zgrani oldboy'e ćwiczą jak mogą – wszystkie zdolności swoje – te nabyte i – te wrodzone: piosenki i wierszyki, zdolności aktorskie i muzyczne, przewodniczo-turystyczne oraz kronikarsko-fotograficzne...

Nie sposób wymienić wszystkich... W tematyce poważnej – gotowi na uroczystości i rocznice ważne...

Gdy potrzeba jest, to i na wesoło,
by się rozluźnić i rozchmurzyć czoło...

Na okrągło – pierwsze skrzypce grają
gitary oraz akordeon... Bez nich nie ma zbiórek,
ni – wycieczek – w żaden Polski rejon
Ja mam 25, ty masz 25 – przed nami – drugie tyle.

20-latki! 20-latki – to ja i ty... Tak to leciało?
Zapytaj Antka albo Beatki, czy ktoś się czuje, jak my –
harcerze z kości i krwi... Zapytaj członków, ale też Gości –
świadców popisów corocznych i – licznych uroczystości...
Czarne Diamenty kochają Jurę i góry
oraz spotkania przy ognisku, choć nad nimi chmury...
Ich śpiew niesie się bez końca, a wtedy cały świat
ma – jak my – tylko 25 lat...

Ja mam 25, ty masz 25 – nigdy nie będzie więcej,
bo – instruktorzy, jak my – Czarne Diamenty, to takie...
elementy – że... forever young i – zawsze mieć będą po
25... choćby do 100-ki :-))...

Wszyscy lubimy naturę i leśne biwaki,
– jak szemrze nurt wody i – śpiewają ptaki...

Lubimy:

- słońca blask i lasu szum, ogniska na polanie,
- obozowe gawędy, stare namioty i – gitary granie...

Cokolwiek o nas myślisz – rad nie rad...

Dziś cały świat ma – jak my – tylko... 25 lat!

Na koniec – jedno marzenie mamy wszyscy – w związku z siemianowickimi harcerzami i Bohaterami, którym

pomnik dawno temu na historycznym szlaku miejskim – w Bytkowie – postawiono... Tam, gdzie w czasie wojny – Józefa Skrzeka i Pawła Wójcika na topoli powieszono... Może kiedyś – zgodnie z harcerską petycją z 2022 r. – Bohaterowie i Patroni szkół – muralu się doczekają...



WSPOMNIENIA Z RODOS NA MICHAŁKOWICKIM MAROKU

Irena Skwara

Boże, Ty zsyłasz nam ożywczy wiatr w upalny dzień
i drzewa smukłe, chwiejne, z których spływa w dół
zbawienny cień...

Świerku srebrny, szlachetny, który od lat już za parasol
służysz

i górujesz nad naszym ogródkiem, który o palmę wysokości
z modrzewiem – równie starym – walczyłeś z dobrym
skutkiem...

Obecnie 3-4-krotnie przewyższasz altankę
i kołysząc się z wiatrem-masz baczenie niczym ochroniarz
na okolicę całą – wieczorem i rankiem
Modrzew był ci zbyt długo konkurencją...

Ty z nim wygrałeś – Srebrna Eminencjo...

Wiśnia-staruszka - niegdyś wiosną obsypana była kwieciami,
jak panna na wydaniu, a wiśni koralami ozdabiana w lecie...
Tuje złote, znów wspaniale, rolę żywego płotu grają –
od pory roku niezależnie, chociaż ich piękno kiedyś komuś
przeszkadzało...

Ty, Boże, umilasz nasz ogródkowy relaks ptaków śpiewem:
czasem słyszę krzyk brzmiący złowieszczo i niezrozumiale,
czasem znudzony, bądź rozpaczliwy świergot –
pomocy proszący, powtarzany długo i wytrwale...

Kwitnąca lipa roztacza słodką woń z daleka, budząc owady
z letniego letargu...

Wiciokrzew, na społy z różami, próbuje wspinać się do
słońca...

Najzdolniejsze w tym względzie jednak wino dzikie:
teraz sięga dachu i zwisać próbuje, a nowym pędem nie
widać już końca

Dzikie wino... jak z pieśni Grechuty: „Kto je tutaj siał..”?
...ono wciąż pnie się do słońca...

Smukłe malwy przyciągają wzrok purpurą malowniczych
kwiatów

częstka dawnego folkloru, za którym może miasta płaczą...
„Malva neglecta” – znaczy zaniedbana – rośnie już samotna,
na pastwę natury wyraźnie skazana...

„Neglecta” – nie tylko malwa, lecz ogródek cały...
w chaszczach –

nie zakwitły lilie, ni nawet lwia paszcza... Jednak czekam, by
tego lata upalnego, po wspaniałej tulipanowej wiośnie,
od kilku sezonów leniwe – juki i hortensje zakwitły
radośnie...

Wszystko to mam w ogródku, który ma zostać sprzedany –
po kilku dziesiątkach lat... Był moim oknem na świat

zapomniane:

gdy mściłam się na chwastach, smutki i problemy wszystkie
w wirtualny odchodziły świat...

Skoro szalwie zjedzone zostały przez ślimaki, a dalej –
też widać

stanowią nie gorsze przysmaki, przyjdzie mi pocieszyć się
borówką,
choć pewnie na krótko, bo tę „amerykańską” – upatrzyły
sobie ptaki...

Kłęska urodzaju? Chyba tylko ślimaków, mszyc oraz
komarów...

Wśród gałęzi świerka srebrnego przekomarzają się głośno
niewidoczne ptaki gatunku nieznanego – i nagle – cisza –
jak makiem zasiał... tylko nachalne brzęczenie owadów
w upalnym powietrzu rozbrzmiewa: ustaje wiatr –
przestają kołysać się drzewa...

Z oddali dochodzi psa szczekanie, zza płotu – czyjeś
znudzone ziewanie...

Z okna altanki słyszę „Radio Złote Przeboje”... (przeciw
chwastom przebojowym ;-)) ...

Z przebojami – walka niepotrzebna, mogę ich słuchać
do woli:

przy nich zapominam o codziennych troskach i nawet
kręgosłup mniej boli,

kiedy wyrывam znieawidzony podagrycznik, babkę,
życicę czy wiechlinę,

wilczomlecze, pokrzywę, czy też koniczynę...

Jest też wino szlachetne, którego ramiona liściaste podpory
 oplatają
w uścisku nie-winnym... Zwisają już winogron kiście –
z nadzieją na sezon urodzajny... bardziej perliście...
Może niebo w gębie „molto dolce” ciepły październik
 przyniesie...

BALLADA O KRÓLU HOŁDOW

I PTOKORZACH

Andrzej Suchowski

*(na podstawie prawdziwych łopowiadań ptokorza ze
LaurahüTTY)*

Downymi casy, kaj Król Hołdow Icek Lajbuś X
miał swoje teryny i trony.*
Boły „Ptasie Gorki”, wśród pol, stawow, łonk, loskow...
a kapusty zagonym...*

Nad wszystkim Łon downi wahował,*
a nic, bez Jego zgody się niy dziolo...
i tam każdego pilnował i ucyhtował...!?

Nawet prusoki się z Nym liczyli...,
jak pedzioł – tak tys było...*
i żodnej gupij godki s Ćnim się niy fandzoloło!*

Kożdo Rodzina miała swoje na Hołdach pole...,*
przed familokym łogrodek, chlywiki: kury, kacki, kozy...,
barany i krole...*
Dźwiyrze do dom zawsze były łotwarte,*
kluc pod tritym, na piecu wielgi gornek gorki zupy,
no i ryncy łod roboty twarde i starte!*

Łod „Kołocowyj Gorki” w „Losku Bytkowskim” aż przy Makoszanie*,
koło zomku na Ficynuśie, boły yno same pola, Landszaft piykny
Hołdy i Biyda-szyby jak namalowane! *
Tam Łojciec Erich z kuzynym Ywaldym
kuropatwy, fazany i hazoki goniyli... *
a byli take gibke..., że rozu pewnego w „ganie” sie nogi łoparzyli.*

Łoni, jako bajtle, wszystkie łotali po bosoku..., yno,
krotke galotki – w zima sztrumpfynbandry mieli łoblecone,
na gowach copki – w kapsach kizłoki*!
Za pasym szłodjdry...
a w łebie yno gupoty i ptoki...*

Cołkiym ynne boło to Życie... *
biydne ale ciekawe... i fajne po szychcie...piwko smakowało,
a dziółchom sie pszało... *
Na mandolinach, łorgankach i akordełonach sie grało, śpiewało,
bery i bojki łozprawiało... *
Jak prziszła jeśiyn, to starziki, karluse, frele, chopiony i bajtle –
cołkie familyje *
szły na pola kopać kartofle, paś kozy, barany – fto jak mioł i ile...?!*
Tam – na Hołdach miyndzy Wełnowcym – „Galmanshütte”
a Makoszany
przy grubie Ficynuśie, boły poletka, zagony i „Słynne Gorki”,
Kaj wszyscy chytali różniste ptoki: *
konopy, cyze, scygły, pinkawy, sztajńszmece i kolorowe
szmaterłoki...*

Koždy Fachman mioł swoja gorka, kaj rosła łognicha, *
chytali na lep ze zoli ze szczewika, saki i wobika! *
Gorka musiała być przednio zrobiono – wysztigłowano: *
lebiodom, łoseteym, konopiyem, glancckornym, rapsym posypano *
i piyknie żielskiym przistrojono. *

Na gorce tyj gryfnie ułożony, *
lepiyli ptokorze prontki ze specjalnyj trowy zrobiony ...*
Wielgo to boła sztukateryjo i mondro gowa...?!*
tak sak z fedrom abo zalcklapper tak nadlami „chycić” – napiońć...!
i klotka z wobikiym silbertrowom zamaskować!*
Drat abo sznura klamrami w źymia łoni wbijali..., *
Ćiongnyli dalij aż do dziury abo dołu – gibko się tam chowali!*

Koždy po cichu mog tam kibicować! *
Ale yno najlepszy ze ptokorzy mogł sak klapować!... *

Stary Urban, Mancweltt, Erich, Janek, Andrzej, Sztetan z Richtera,
Rudolf i Sabinka ze Georgshüttty, Ywald, Ygon, Eugyń
to byli szpece Asy!...
i łod Heinela czelota*
Robyli zawody – fto miał najlepszego wobika na ryku!
I chyci galowego, farbowego ptoka!*

...Jak jokoś bandka konopow abo scygłow leciała...,
i wobik zameloł: „ciwit urrli”...
to wszyscy gibko się w dołach z trowom chowali*
i yno cekali * ?!

Kery szlager najlepsi ściognoł ptoki ...?!*
Do kogo na gorka śiadły boroki ?*
Koždy zza trowy kukoł yno na same samole!*
Jak wlezom do saku! I gibko klapnońć!..., po cichu...,
lecom na sztyrech, na gorka cwaniolo...!*

Casym wszyndzie ptoki posiadali...*
I trza boło dugo cekać- by nyy pouciekali?!...
Dużo boło przy tym hercklekotow i potym przegadywańo?!
Fto chycioł najlepszego scygła czworoka? *
sześcioka i nawet łosmioka...?*

Konopa-Bata! – jasnego jak łód baby badki i zoka...*
Czynsto, boło trza uważać na kobuchy,
kere sie łoroz pokazywały*
i klotki ze wobikym atakowały!*...
dlotego przy klotce na szryg i sztorc wbijali my długie droty!,
by je łodstraszyć i łobronić ptoka!.*
Inacyj wyciongly wobika przez droty i zabioly scygła abo konopa!.*
Najczyńścij my copki do gory leko ciepali...,*
Ryknily my po cichu...! Abo ze szłodra do luftu szczylali!!!!*

Po wszystkim chytaniu – do kłotecek abo do pońcochy łoni ptoki
wsadzali*
a w doma aszym z pieca szwingi i piora dobrze wycyscali...,*
dali pić, jeś i do kłoty nazot wsadzali...*
kaj nom cołko zima kolendy śpiewali!...*
A my się na nie gwizdali i dziwowali...*

Opa Wincynty i kompel Janys, stare kamraty z Przełoji,
zawsze yno godali ze śmiechym łonakim...
„Ptoki na jeśyń do kłoty”* – łocy nacieszyć, przez zima pofutrować –
śpywu posuchać – a na wiosna hanzliki na fraj wypuszcować...!*
Boły tys take lebry co ptokow niy szanowali!*
yno niyymi handlowali!*
ale łoni chyba Ślonska i Przirydy nigdy niy Kochali?!*

Wiedzieli ło tym Króle Hołdow: Iglík I z Gyjorgshüttý i Jorg III
z Galmanshüttý...,
jak takigo ptokorza miyndzy stawym „Mittel” abo „Babka”
chycyli – ściongli mu galoty – do žići nakopali!*
i Utopcom ze „Stawu Richter” do gronželiska na sond łoddali,*
by tam płakali i żalowali*

Tako to boła Ślōńsko Tradycyjo – chytanie ptokow, bolokow
i guptokow!*

Tak boło – i sie chyba skońcoło...???!*

Terozki już końca ta krotko ballada – *

ida na szychta... i szolom na dol sie sjada..!*

Byda fedrowoł i sztomple zabijoł

kochany wongel hercowom do miechow i wozow folowoł!*

I łokropnie sie przy tym radowoł...!*

Jo, wom godom po prowadzie, jo widzioł za bajtla

tego Krola Hołdow z Laurahütty!*

I aż zech narobioł do galot ze strachu w piwnicy!*

Tym Wszystkim Kapelus z gowy! Co pizsom, ło tradycyjach

Ślonska fajnije mowy,

Ze Serca Go Kochajom... – i jesce przy tym skorka łod chleba

żuchlajom...*

Za Wasze Cołkie Dobro Dziynkujemy...!

Gorke kartofle z łogniska jymy i sie modlymy...!*

Tym co Nos suchali i napochali...?!*

Z tamty strony przebocomy i godomy: „Klotki i Saki som terazki

jus połomane”!*

I na haśioki powyciepowane...!*

A ptoki do luftu wypuscone...!

I na Wolność na zawsze łoddane...!*

Przypisy:

Makoszan – nazwa miejsca na którym rosły kiedyś piękne maki

Ficynus – szyb kopalniany przy Makoszanie

Laurahütte – dzielnica hutnicza Siemianowic

Gyjorgshütte – Huta „Jerzego” na Srokowcu

Gana – gorący żużel wywożony wozami z huty na hałdy

Losek Bytkowski – laszek Bytkowski
Kołoczowa Gorka – najwyższy punkt w Lasku Bytkowskim
Galmanshütte – huta cynku przy Wełnowieckich Hałdach
Familyjo – rodzina
Biйда-szyby – kopane płytkie doły z których wydobywano
nielegalnie węgiel
Krole – króliki
Król – króle
Landszaft – piękna okolica
szryg – skośnie
sztorc – w pionie
szlojder – proca
kizloki – gładkie kamienie
ciwit urrli – ptasie odgłosy
hercklekoty – kołatanie serca
hazoki – zające
fazany – bażanty
fachman – fachowiec

TUKEJ, KAJ CZUJA SIĘ SOBĄ

Julia Szubert

Dzisiej wom poopowiadom trocha jak to u mie wyglądo z tym mojim piynknym Ślōnskiem. Wy sie nie wyobrażacie, jak jo go przaja.

Teroz ôd czego zacząć...

Slōnsk je miyjscym, kaj żech sie wychowała i kaj żech sie nauczyła, co to ôjczyzna. Jak żech była bajtel, wszyjsko było po naszymu: godka, kultura i nasze zwyczaje. Jo nie zapomnia nigdy, jak babka zawsze sie darła:

„Ciś no po te kartofle do piwnice, bo trza ôbiod uwarzyć”.

U mnie w doma czy na placu to ino po slōnsku sie godało, jak żeś inaczej coś pedzioł, zaroz ryceli żeś gorol je. Wtedy jo nie wiedziała, że to je jynzyk, do mie to było normalne tak godać. Codziennie żech widziała rano, zanim do szkoły polazłach, chopów jak szli na szychta – na gruba i larmo robili tymi szczewikami. Tyn familok, w kerym mieszkom do dzisiej, tyż miał swój urok. Każdy kożdego zno, zawsze my mieli kultura, bo tak my byli wychowani i my ryceli „dzień dobry”, nieważne czy żeś znoł czy nie znoł. Za małego tyn Slōnsk był do mie czymś naszym, takim choćby zawartym światem. Wszyjstko tutej żech znała: place, wszystkie klopsztangi w okolicy, szkoła, kościół i sklep na wiynklu, bo to do nos było najwoźniejsze. Daleko nie trza było sznupać, że świat jednak nie je ino u nos na Slōnsku, bo jak sie na

wycieczko klasowo pojechało zugiem do Krakowa, to ino pytali po jakimu my godomy, co to za jynzyk je. Oma zawsze godała, że naszo gwara i Slōnsk je najwaźniysz y i trza być z niego dumnym i nie kitrać się z tym, że my stąd są. Łatwo tu kiedyś nie było. Wiele razy nom granice zmieniali, roz my w Rajchu byli a nieroz nikaj, ale Slōnzok zawsze Slōnzokiem był i bydzie. Tyła, ila my na placu z bajtlami siedzieli, żarli maskety i w bala my grali, to nigdy nie zapomna, godom wom.

Teroz wom opowiem jak to fajnie w Barbórka było. Mie sie ôna kojarzy z tymi bombonami – kopalniokami (szklokami). Barbórka była czworte go grudnia. Ôd rana orkiestry dęte łążyły przez familoki i grały marsze i pieśni. Bajtle szpoczyły przez ôkna. W kościele zawsze była mszo, a po tym śwyntowanie bôło. Chłopy żłopali piwo w szynkach, po tym zaś w doma mieli wyrzchtowane przez baby gumiklyjzy, rolady i modro kapusta. Wszyjscy śwyntowali, bo wydzieli jak te hajery ciężko fedrują tam na dole. To takie nasze slōnskie śwynto.

Uwielbiom też Wilijo, to je dopiero coś piynknego. Každy z nos ôd rana sie szlajo po kuchni, warzy sie: karpie, makówki, barszcz z ôblykanymi łązankami abo z grzybami, moczka – to je taki słodki deser z piernika, tako choby zupa. Na stole zawsze dużo jedzenia, nawet jak żeś był biedny to Wilijo jakoś musiała być ôdpicowano. Pod biołym ôbrusem sie dowalo sionko, co by to pamiyntali kaj się Jezusek urodził, i piniondze pod talyrz, co by ich nigdy mało nie było. Puste miysce do zabłąkanego tyż zawsze jest. Dwanoście potraw tyż zawsze było. Nie wiem jak u wos, ale u mie jest zawsze post i czekomy na kolacjo. Zanim siednemy, to dzielimy się opłatkiym, skladomy se życzenia, modlimy sie, Father za-

wsze zabiero głos i nom przemawio i dziękuje Bogu za to, że nad nami czuwo cały czos. Zawsze czekomy na pierwszo gwiazdka, wtedy wiemy, że możemy klapnąć i jeść. Jak już zjemy, to śpiewomy kolyndy i otwieromy gyszynki. Po kolacyji idemy całą familijo na pasterka do kościoła. A wiecie co wom jeszcze powiem? W Mikołaja to bajtel jak był niygrzeczny, to worek oszkrabin dostowoł, a jak zaś był grzeczny, to dostowoł ten swój gyszynk na kiery zasłużył. Czesto my jakieś zoki dostowali. Lotali my zawsze po śniegu w mycce Mikołaja.

Tyn Slōnsk to je jednak coś piynknego, jo wiym, że sie moga powtarzać i nakryncać jak katarynka, ale to je takie cudowne, że bych mogła godać o tym godzinami!

Powiem wom, jo zaś na to wszystko patrzy inaczej, do mie to nie ino jaki wongiel abo huta. Do mie to te wyjątkowe ludzie, nasze piynkne zwyczaje, o kierych trzeba godać. Już smolić to, że te familoki się teroz pozmieniał, place są jakieś inne, lepsze, bo co jednak nie wyleziesz na ten swój plac, to zawsze czowiek poczuje tyn klimat jaki kiedyś był. Ale ludzie tego niygdy nie zrozumijom. Do mie to je miejsce, kiere jo całe życie byda przaic. Slōnsk to je Ojczyzna, kaj familijo trzymie sie kupy i żyje.

Mom nadzieja, że chociaż trocha żescie sie czegos nauczyli ode mie. Trzymejcie sie, winszuja wos!

PAMIYNTNIK AŚKI

Joanna Ziętał

3 września 2025 – Familok

Dzisiej siedziałach na ławce przed naszym familokym i gōdałach sama ze sobōm, jak to wszystko wyglōndo. Familok stoi tu już z sto lot i miołbych wrażynie, że cegły pamiyntajōm wiyncej niż my wszyscy.

Ôma zawdy godo: „Familok to niy ino ściany, to serce Ślōnska”. I coś w tym musi być. Bo jak siedziałach na placu, to słychać było, jak sąsiadka krzi na swojego bajtla, coby niy biegał po ulicy, a z drugij strony inksi bajtle gōdały: „Grōmy w szpila na kapsle!”.

W familoku niy było luksusōw – ciasne kuchnie, wspólne wychodki na podwōrzu, zimno zimōm, bo piec niy chcioł trzymać ciepła. Ale było coś, co żodyn apartament w Katowicach niy mo – wspólnota. Każdy wiedzioł, co sie dzieje u sąsiada, każdy pożyczoł cukru, jak brakło, abo ziemniakōw, jak niy starczyło do niedzielnego obiadu.

Pamiyntołach, jak miała zech sześć lot i z koleżankōm z klatki malowały my kredōm serca na chodniku. Potym przyszła starszo baba i zamiast nas przegnać, to przyniosła nam jeszcze cało garść kolorowych kred. Tak sie tu żyło – skromnie, ale sercym bogato.

24 grudnia 2025 – Wigilio

Ôd rana w doma pachniało barszczym, makôwkami i karpim. Matka latała po kuchni jak szalono, ojciec nosił drewno do pieca, ôma modliła się cicho przy stole, a bajtle patrzyły w ôkno, czy już gdzieś niy widać piyrszej gwiozdki. „Ôma, kedy bydzie jeść?” – spytoła żech zniecierpliwiono. Ôma się uśmieła: „Jeszcze musisz poczekać, bajtlu, bo Wigilio to niy ino jedzynie. To czas, kiedy wspomînômy tych, co już z nami niy siedzôm”.

Jak siadli my do stołu, to był taki spokôj, jakigo żech nigdzie indziej niy czuła. Na stole dwanaście potraw, jak zawdy: barszcz z ôpônkiem, karp smażôny, kluski z makiym, moczka, kompot z suszôných owoców. Ôjciec pedzioł: „Piyrsze, połam się ze mnôm opłatkiym”. I wtedy naprawdę poczułach, że rodzina to naszo siła.

Potym przyszło śpiywanie kolynd. Ôma śpiywała tak cicho, ale tak sercym, że bajtle siedzieli wpatrzone i ani słowa niy godali. To był dziyń, kiedy cały Ślônsk wydowoł się piyk-nijjszy.

4 grudnia 2025 – Barbôrka

Dzisiaj Barbôrka. Od rana widać było górnikôw w mundurach, czapki z piórami, orkiestra dymbôła marsze po ulicy. Całe familoki wyszły popatrzeć, bajtle machali, baby płakały ze wzruszynio.

Ôma godoła: „Twój dziadek zawdy nosił mundur z dumôm. Bo górnik to niy ino robota, to powołanie”.

Pamiyntołach, jak dziadek wracôł ze szychty. Czoło miôł czorne ôd wungła, ale oczy świeciły dumôm, że znowu przyniôsł chlyb do doma.

Na Barbörka zawdy była biesiada. Stoły pełne jedzynio – żur, karminadle, kluski, piwo. Muzyka grała, a górnicy śpiywali: „Hej, szumi górniczy stan”. Dla nos to było śwynto, jakby sam Ślōnsk sie zatrzymał i chcioł podziynkować tym, co robili pod ziemiōm.

10 czerwca 2026 – Wesela

Ôstatnio byłam na weselu kuzynki. I musza pedzieć, że żodne inksze wesele niy mo takij mocy, jak ślōnskie. Muzyka grała ôd popołednia do rana, stoły ugiwały sie ôd jedzynio: rolady, modro kapusta, kluski, karminadle.

Ôma siedzioła ôd rana przy stole i godoła: „Downij to wesele trwalo trzy dni. I śpiywało sie, tańcowało, aż buty sie rozlatywały. I żodyn niy narzekoł, bo to była radość, a niy obowiązek”.

Jak zabrzmiała „Szła dziewczeczka do laseczka”, to cało sala podniosła sie na nogi. Ludzie tańczyli, śpiywali, śmiali sie. A jo patrzałam i myślałam: może świat sie zmienia, może mamy telefony i auta, ale te nasze zwyczaje ciągle żyjōm.

7 listopada 2026 – Szychta

Rano, jak jeszcze było ciemno, widziołam chłopōw idących na szychta. Każdy z torbōm, każdy w kasku, każdy poważny, bo szli na dół.

Ôma opowiadola, że dziadek zawdy godoł: „Idym na dół, a niy wiem, czy wrócym”. Takie to było życie – ciężko, ale z godnościōm. Górnik niy był ino robotnikim. Ôn był bohaterem, co szedł pod ziemia, coby przynieść światłu energijo.

Jak dziadek wracoł, to ôjciec i ôma czekali z wiyrchlōm. „Dej Boże, coby dzisiej wszyscy wrócili” – powtarzała ôma.

Dzisiej patrzałych na puste szyby kopalń i poczułych żol. Ale jedno zostanie na zawdy – szacunek dlo tych, co robili na grubie.

1 września 2026 – Szkoła

Pierwszy dziyń szkoły. Wszyjscy przyszli z nowymi torni-strami, nowe piórniki, nowe kapcie do sali. A jo myślałych ô tym, co ôma godała.

„Za moich czasów – godoła – nauczyciele karali bajtli, co gōdali po ślōnsku. Musieli my sie uczyć po polsku, abo po niemiecku, zależnie ôd tego, kto rzōndził. Ale godać po swojym – to był wstyd”. Ôma pedziała: „Jo sie wstydziła, a dzisiej jo sie ciesza, że wy możecie pisać, śpiywać, gōdać po ślōnsku bez strachu”.

Jak siedziołach na lekcji, to myślałych: nasze gōdki niy może zaginōńć. Bo bez niej, toby my niy byli już Ślōnzokami.

18 lutego 2026 – Karnawał

Ôma wspomino, że downij w karnawale ludzie bawili sie jak wariowani. Maski, przebiyranie, muzyka na placu. Zawsze musioło być śmychu i zabawy, bo to był czas radości przed postym.

Jak jo miołach siedym lot, to my ze znajomymi zrobili maski ze starych kartōnów. Chodzili my po familoku, śpiywali, a ludzie dawali nam cukierki, czasym pierniki, a nawet gorōnco herbata w kubku.

Karnawał to był taki czas, kiedy niy myślało sie ô trudach. Jo pamiyntom, że chociaż niy było bogato, to był śmych i serce do ludzi.

2 kwietnia 2026 – Wielkanoc

Ôd rana matka piekła kołocz – taki z serem i makiym. Cały familok pachniał, a bajtle biegali po korytarzu, bo niy mogli sie doczekać, coby spróbować. Na Wielko Sobota szło sie ze świnyncōnym. Nasze korytko zawdy było wyynksze niż u sąsiadōw, bo musiało starczyć dło ôma, dziadka, ôjca, matki i bajtli. Były tam jajca malowane, kielbasa, chlyb, a na wyyrchu serweta od ômy.

Poniedziałek Wielkanocny to był śmigus-dyngus. Jak zaczęli chłopoki łać wodōm, to niy było ratōnku. Wracafach sucho? Niy było takij opcji!

9 sierpnia 2026 – Ulica

Moja ulica je jak rzeka. Downij jeździły furmanki, potym autobusy pełne górnikōw, a dzisiej wyncyj samochodōw. Ale jedno sie niy zmieniło – życie na ulicy.

Na ławeczce przed familokym siedzi ôma i godo z sąsiadkami. Bajtle grają w kapsle, w szpila na trzy kije, a starsi przesiadujōm i gōdajōm ô polityce, ô futbolu, ô tym, co nowego w mieście.

Jak idym ta ulica, to czuja, że cegły pamiyntajōm. Jakby mury godoły: „Pisz ô nos, bo my pamiyntomy wszyjsko”.

5 października 2026 – Książki ô Ślōnsku

W bibliotece wziynach ksiōnzka ô Ślōnsku. Były tam zdjęcia familokōw, kopalń, orkiestry górniczej. I nagle poczułach dziwno radość – to, co u nos je codzienne, dło inkszych je skarby.

Czasym myślałach, że nasz świat je szary – cegły, dym z kominōw, brudne klatki schodowe. Ale patrząc na te zdjęcia,

widziałach kolory: czerwono cegła, zielono kapusta, żółty kołocz na stole. Nasza codzienność jest piękna, ino trzeba umieć ją zobaczyć.

17 listopada 2026 – Dym z kominów

Wieczorem wyszłam na plac i widziałam, jak dym z kominów unosi się do nieba. Dla jednych to smog, dla nas to znak, że w domu ktoś siedzi, ktoś warzy, ktoś śpi.

Zapach palonego węgla zawsze był znakiem zimy. Mama zawsze mówiła: „Jak w powietrzu czujesz dym, to znaczy, że Śląsk śpi spokojnie”.

I faktycznie – dym był jak kołdra, co przykrywał nasze rodziny.

30 grudnia 2026 – Sylwester

Na rodzimym Sylwester nie był wielkim balami. Siedzieliśmy w domu, jedliśmy karpia, a na stole stała butelka szampana – czasem prawdziwego, czasem rodzinnego wina.

Ale o północy cała dzielnica wychodziła na plac. Petardy strzelały, ludzie się ściskali, wołali: „Szczynśliwego Nowego Roku!”.

I ja wtedy myślałam: nie trzeba bogactwa, luksusu ani wielkiej sali balowej. Najlepsze wesele to takie, co jest robione sercem i we wspólnocie.

